

FAMIASTO

47. Festiwal Fama, nr 1/3

Wydanie specjalne na 5. urodziny Famiasta



Młoda sztuka w Świnoujściu s. 09

5 rozmów na 5. urodziny Famiasta s. 24

Torpeda Ludu s. 40

Spis treści

03 Fama - scenariusz piszemy sobie sami

04 Debiutant na festiwalu. Odc. 4 - Wybór kolorów

07 Cuda nad Bałtykiem, czyli zakulisowe plotki i (re)animacja literatury

09 Młoda sztuka w Świnoujściu

12 Improwizacja wysokich lotów

14 Po prostu dobrze tam być

16 Przegryw - synteza i rozkład famowicza

22 czy jest, czy nie ma

24 5 rozmów na 5. urodziny Famiasta

40 Torpeda Ludu

Naczelna:

Monika Stopczyk

Współpraca:

Karol Maliszewski
i Marek Osajda

Ilustracje i projekt okładki:

Kaja i Piotr Depta-Kleśta

Opracowanie graficzne i skład:

Paulina Motwicka

Redakcja Famiasta:

Agnieszka Budnik, Aleksandra Fedorczyk, Łukasz Gamrot, Joanna Hała, Maria Kądzielska, Joanna Łępicka, Dawid Panic, Witold Regulski

Redakcja Torpedy Ludu:

Łukasz z Balut, Agnieszka Budnik, Aleksandra Fedorczyk, Mateusz Górniak, Agnieszka Horodyska, Marta Jankowska, Maria Kądzielska, Piotr Marzec, Dawid Panic, Marta Wojtyra

Wydawca:

47. Festiwal Fama

www.fama.org.pl

www.facebook.com/famiasto

www.instagram.com/famiasto

Fama - scenariusz piszemy sobie sami

Z czym kojarzą się współczesne festiwale muzyczne? Multidyscyplinarność wydarzeń towarzyszących, niezwykle bogaty program, sprofilowani odbiorcy i niemożliwość zobaczenia wszystkiego. Z każdym rokiem kultura festiwalowa zyskuje swoją popularność, a ja zastanawiam się czy „festiwalowość” może jeszcze być związana z tworzeniem czy na zawsze pozostanie już wielką konsumpcją kultury?

Gdy festiwal jest obietnicą

Obecnie każda osoba zainteresowana muzyką i sztuką ma do wyboru szeroką ofertę wydarzeń artystycznych - od tych największych, nagradzanych na międzynarodowej arenie, jak i peryferyjnych, z kulejącą promocją, ale doskonałymi opiniami. Scena zapelniona jest zjawiskami efemerycznymi i bardziej znaczącymi. I choć w gąszczu informacji wybijają się na pierwszy plan tylko te największe, mnogość propozycji jest zadziwiająca. Trzeba pogrzebać złudzenie o tym, że można być wszędzie i usłyszeć wszystko.

W 2017 roku rynek festiwalowy jest przepelniony. Wszystko zdaje się obietnicą - przeżycia artystycznego, duchowego doświadczenia. Mimo że w podstawowym założeniu festiwale muzyczne są formatem mającym na celu prezentowanie muzyki, często dostarczają swoim odbiorcom pakiet kulturalnej rozrywki na cały rok. Teatry wystawiają swoje najlepsze spektakle, do debat zapraszani są uznani pisarze i osoby kulturotwórcze, a do współpracy ważne instytucje. Następuje wielka konsumpcja dzieł sztuki, a artystyczne doświadczenie zostaje doskonale zaprojektowane.

Karnawałowe miasteczka przepelnia feeria dźwięków, barw, wydarzeń. Kilka (czasem kilkanaście, jak w przypadku poznańskiego Spring Break Festival) scen tworzy często wszechogarniające doznanie niemożliwości zobaczenia i usłyszenia wszystkiego. Podróżująca między atrakcjami publiczność konsumuje treści skrupulatnie przemyślane przez

organizatorów, jednak w większości przypadków oprócz własnego scenariusza artystycznego zwiędzania niczego nie kreuje...

Polifonia głosów i wydźwięku każdego z wydarzeń pozwala zetrzeć w proch wizje o festiwalach, które są głosem konkretnego pokolenia. To już nie lata 80., w których przepelniony buntem Jarocin był miejscem zgodnego krzyku tysięcy młodych osób. A jednak popularność festiwali wzrasta. Biznes powstający na produkcji tak ogromnych wydarzeń obejmuje nie tylko mecenasów, sponsorów, agencje festiwalowe - zyskują na nich również lokalne społeczności.

Powiew świeżości

W 2015 roku Harvey Goldsmith, promotor współpracujący m. in. z Bobem Dylanem, The Rolling Stones czy Madonną stwierdził, że rynek eventów muzycznych osiągnął szczyt i mamy za dużo festiwali, a za mało wielkich gwiazd. Prognozował, że czeka nas wzrost wydarzeń w formacie prezentującym nie tylko muzykę, ale także dodatkowo literaturę, teatr lub nawet pokazy magiczne. Ostatnie zdanie potwierdzają działania organizatorów mainstreamowych imprez artystycznych. Przykładowo, w 2014 roku podczas gdyńskiego Open'era zorganizowana została pierwsza w Europie wystawa zaaranżowana w festiwalowej przestrzeni - w ciągu czterech dni zobaczyło ją około 15 tys. osób. W tym roku na OFF Festivalu dyrektorką Kawiarni Literackiej była Sylwia Chutnik. Dwa lata temu również podczas OFF-a kilka punktów

programu dotyczyło tajników konkretnej dziedziny sztuki - burleski.

Poza dużymi i uznanymi wydarzeniami artystycznymi istnieje szereg mniejszych, które pojawiają się często, jednak w większości znikają bardzo szybko. Model prezentowania i chłonięcia tak wielu bodźców jest wymagający, a organizatorzy peryferyjnych festiwali zniechęcają się szybko, ponieważ okazuje się, że eksponowanie wielu form sztuki nie ma swoich odbiorców. Koncerty wciąż stanowią główną atrakcję, a towarzyszące im warsztaty i wykłady interesują znikomą liczbę osób.

Cieszę się, że obok wielkich festiwalowych, karnawałowych gigantów znajduje się miejsce na inicjatywy służące dialogowi, refleksji. Mniej komercyjne, gdzie częściej rozmawia się o muzyce i sztuce, a nie tylko pije wódkę w rytm piosek artystów będących na szczytach światowych list przebojów. Miejsca, w których załóżki myśli z czwartej nad ranem przenoszą się z głowy do gazet, a potem do szerszej dyskusji. Nie piszę o branżowych, zamkniętych wydarzeniach, lecz o festiwalach otwartych dla osób chcących coś wyrazić, niekoniecznie mogąc zrobić to z pozycji artysty. Doskonałym przykładem, idealnie balansującym na krawędzi, jest poznański Spring Break. Każdego roku, wiosną, gromadzi on wielu promotorów, mecenasów, muzyków i managerów, a jednocześnie skierowany jest do zaangażowanego słuchacza, który bez ograniczeń może brać udział w panelach i wykładach. Tutaj o muzykę się kłóci i głośno o niej rozmawia - niczego nie trzeba

akceptować i wszystko podlega dyskusji.

Festiwal Akademickiej Młodzieży Artystycznej, czyli Fama, do tej pory był dla mnie legendarną zagadką. Wiele osób, które podziwiam ma swoje twórcze korzenie właśnie tutaj. Muzyczność tego miejsca była dla mnie zawsze oczywistością. Jednak - jak to na debiutantkę przystało - zderzyłam się ze swoim błędnym przekonaniem i okazało się, że Fama to również inne, równie ważne dziedziny sztuki. Przez dwa tygodnie organizatorzy zapraszają publiczność i uczestników nie tylko na koncerty. Do projektu literackiego Miejsca Literatury, w ramach którego odbywają się spotkania z uznanymi autorami zaproszono w tym roku m. in. Łukasza Orbitowskiego czy Ingę Iwasiów. W drugiej połowie sierpnia w Świnouściu możliwe będzie również odwiedzenie wystaw sztuk wizualnych i fotografii, a także obejrzenie spektakli teatralnych czy kabaretów. W wydarzenia zaangażowani są również mieszkańcy miasta. Projekt „Zaproś Famę do siebie” sprawił, że miejsca prezentacji sztuki to nie tylko Muszla Koncertowa na Promenadzie i Amfiteatr im. Marka Grechuty, ale również prywatne mieszkania, restauracje i podwórka. Świnoujska społeczność tworzy ten kreatywny i twórczy organizm, nadając mu żywy, spontaniczny charakter.

Dwutygodniowy festiwal, w którym to tworzenie - a nie konsumpcja dzieł sztuki - jest na pierwszym miejscu. Dobrze wiedzieć, że tym razem choć raz scenariusz piszemy sobie sami.

Joanna Hała

Debiutant na festiwalu

Odc. 4 – Wybór kolorów*

1. **Akcja.** Siedzisz na zniszczonej, niewygodnej kanapie. Po raz trzydziesty siódmy wchodzisz na pocztę i jest, w końcu jest; przyszedł mail od pani redaktor z Famy. A w nim pani redaktor każe ci pisać tekst. „Fajnie”, myślisz. Lubisz jak

kobiety mówią ci, co masz robić. Ale lubisz też mieć w tym trochę swobody, więc kiedy okazuje się, że temat dowolny, jest idealnie. Idealnie, bo już masz w głowie temat. Chwalisz się nim na fejsbukowej grupie: „Mój pierwszy raz na Famie”.

„Po prostu geniusz”, myślisz. I na pewno nikt na to wcześniej nie wpadł, nigdy. Pani redaktor odpisuje ci, że jednak wpadł, nie raz nawet i że pomysł na odgrzanie tego kotleta musi być oryginalny i świetny całkiem. „To wspaniale” myślisz, „bo ja właśnie taki mam, i oryginalny, i świetny i na dodatek taki, na który przede mną nikt nie wpadł. Nagle jakiś typ, (jakiś typ nieznanym) pisze, że na ten przykład, tekst musiałby być tak świetny jak jego własny, który to on rok temu wymyślił i na Famę przywiózł, i że masz sobie przeczytać, taki jest świetny. „Co ten typ taki pewny siebie”, myślisz i w końcu pobierasz zeszłoroczną gazetę festiwalową. W końcu, bo jakoś wcześniej na to nie wpadłeś. Przecież zawsze sobie powtarzasz: „swoją ignorancję należy celebrować”. Czytasz ten jego tekst. „No co za typ”, myślisz. Co to za typ, co wpadł na taki sam pomysł jak ty i to rok wcześniej, a przecież miałeś być taki oryginalny, „no co za typ z niego”. Czytasz i wydaje się nawet spoko, i nawet coś ci ten tekst przypomina. „No co za typ”, myślisz (już ostatni raz) i już, już masz odpuścić i wymyślić coś nowego, ale jakoś tak jeszcze typa z czystej ciekawości googlujesz i... nosz kurwa mać! Typ jakąś nagrodę zdobył na Famie rok temu. Nagrodę, znaczy hajs, znaczy się... hajs! A przecież to był twój oryginalny pomysł... Czujesz się tak samo podle jak miesiąc temu, kiedy po dwudziestu pięciu latach życia w końcu zdecydowałeś się obejrzeć „Twin Peaks”. I nagle okazało się, że twoja własna, oryginalna rozkmina na temat istnienia zła na świecie już została wcześniej rozkminiona i na dodatek wyrażona, i to na dodatek JAK wyrażona! I to na dodatek zna już ją KAŻDY, bo „Twin Peaks” to przecież dzieło kultowe, prawda? No po prostu potwarz, prosto w twarz, potwarz. Tę pierwszą jakoś zniosłeś, bo to w końcu Lynch, więc mu jakoś wybaczyłeś. Ale ten typ? Ten typ! Obczajasz go na fejsie. Jest z Katowic... z KATOWIC, kurwa?! Z twojego miasta?! No nie... Najpierw Szczepan Twardoch, a teraz ten... Już wiesz, że tej potwarzy nie wybaczysz i już obmyślasz plan zemsty idealnej, i już wiesz, że to nie Lynch i temu typowi nie odpuścisz. Na wszelki wypadek wysyłasz mu zaproszenie do znajomych na fejsie, bo okazuje się, że on w tym roku też jedzie na Famę i jesteście razem

w sekcji, więc nie ma co robić smrodu na starcie. Akcja. Siedzisz na zniszczonej, niewygodnej kanapie. W głowie powstaje plan, że musisz coś zmienić. Musisz coś zmienić. „To może zacznij od TEGO”, myślisz. „Muszę coś zmienić”, myślę.

2. Akcja. Siedzę na zniszczonej, niewygodnej kanapie. O, tak rzeczywiście lepiej. Po mojej lewej stronie siedzi Katie. Chcę jej powiedzieć to wszystko, co mam właśnie w głowie: o ignorancji, o zmianie, o wszystkim. Tak żeby zrozumiała:

- Przed wyjazdem na Famę chcę sobie zafarbować włosy na czerwono - tylko tyle jednak wydobywa się z moich ust. Spośród wszystkich dziwnych rzeczy, które jej powiedziałem, czytam z jej twarzy, że to ją zdziwiło najbardziej. Po pauzie trwającej wieczność odpowiada z pełną powagą:

- Dawid. Czy ty wiesz, że nie masz piętnastu lat?

- Halo, panie Damianie. - dzwonię do mojego fryzjera - odwiedziłbym pana, jeśli można.

- A można, ale dzisiaj już nie dam rady, bo dzieciaki muszę ze szkoły odebrać potem. Chyba, że chcesz przyjść do Justyny, ona będzie do dziesiętnastej. A jak coś, to jutro jestem od rana.

- Eee... bardziej chciałem tak powiedzmy, dziesiątego sierpnia wpaść.

- No... spoko - już jest lekko zdziwiony - a to co tak wcześniej się umawiasz, trwałą robimy czy co, hehe - żartuje.

- Prawie. Na czerwono chciałbym włosy zafarbować, jeśli to się da zrobić w ogóle. Co pan myśli, da radę?

Mija kolejna wieczność

- Eee, no da - dziwie się, że nie słyszę krzyku klientki, której właśnie odcięto ucho - to dobrze, że dałeś znać wcześniej, bo muszę farbę kupić w takim razie.

Dwa tygodnie później siedzę na fotelu.

- To proszę powiedzieć, jak pan to sobie wyobraża - pyta pan Damian, trochę rozbawiony i trochę zaintrygowany. Czuję, że moja odpowiedź będzie oceniana; kiedyś pan Damian powiedział, że u swoich klientek lubi, kiedy nie wiedzą czego chcą i przychodząc do niego pozwalają mu ze sobą zrobić, co tylko zechce. Ale jak przychodzi facet, to lepiej jak wie czego chce, a on może ewentualnie techniczne rzeczy dopracować: „Jak nie wiedzą, to się robi niezręcznie dla mnie bardzo”.

- No to fryzura zostaje tak jak jest, tylko góra na czerwono. Tylko zajeżdżcie czerwono, proszę. Tak czerwono, żeby ten czerwony odwracał uwagę od mojej ignorancji, proszę. Jakby ktoś chciał ze mną pogadać na Famie, to szukajcie rudego.

3. Akcja. Wysłałam fragment tekstu do pani redaktor. Odpisuje, że spoko, że jakby co, to też ma rude włosy. To bardzo miłe z jej strony. To coś, co mogłaby powiedzieć moja matka, gdyby akurat zainteresowała ją to, co robię. Chcę się spotkać z Asią i powiedzieć jej o moich czerwonych włosach, ale jest akurat w Austrii. A nawet gdyby była tam gdzie zazwyczaj jest - czyli na kanapie pod oknem, w knajpie, w której pracuję - pewnie zamiast o czerwonych włosach z moich ust wydobyłyby się coś zupełnie bez sensu. Coś niepotrzebnego. Jak refleksja nad tym, co czyni kogoś popularnym i sprawia, że odnosi sukces, czymkolwiek on, kurwa, jest. Że może nie ma to nic wspólnego z jego wartością, a więcej z jego zdolnością do dostarczenia produktu, na który akurat w jego środowisku ukształtował się popyt, niezależnie od tego czy to środowisko zdaje sobie sprawę z istnienia tego popytu. **Stop. Przerwa.** Skup się na rozmowie. Skup się na tym, co piszesz. Skup się na tym, co chcesz powiedzieć. Skup się na tym, co chcesz napisać. **Stop, przerwa.** Mój warsztat nie jest tak dobry. Pióro nie jest takie ostre, wyczucie rytmu nie te, a i składnia czasem szwankuje. W jednej chwili oblewa mnie strach. Myśl, którą ja myślę - a nauczony doświadczeniem wybrałem jedną z tych najprostszych - nie

jest tym, co ty czytasz. Chciałem ci przekazać najprostszą myśl, a teraz nic nie jest w stanie pokonać dystansu między jednym słowem, a drugim. Zawodzę siebie po raz kolejny. Znowu zamykam się w znaczeniu słów. Oto co one znaczą: wszyscy jesteśmy ignorantami, jedyne co możemy, to wybrać jej rozmiar i to gdzie się ujawni, a potem czekać na to, jak inni ignoranci nas oceniają. Liczymy na najlepsze. Liczymy, że spotkamy ludzi, których ignorancja przypomni nam naszą własną. Przegrywam z własnym strachem. Skończył mi się zapas ryzyk, które chciałem podjąć.

Akcja. Ostatnie, co robisz przed Famą to wizyta u fryzjera. Farbujesz włosy. Potrzebowałaś zmiany. Swojemu Damianowi mówisz jak ma cię obciąć i sama wybierasz kolor. Wiesz czego chcesz. Czasem. A czasem nie. Czasem męczy cię ironia i cynizm. Nie, nie piszesz. Tańczysz, albo malujesz, albo śpiewasz. Nieistotne. Wszyscy próbujemy sobie poradzić w ten sam sposób, prawda? Ale czasem chcesz czegoś więcej niż przetrwać. Dzisiaj masz trochę szczęścia, bo fryzura w miarę wyszła i kolor też ci pasuje. Ale zazwyczaj gardzisz tym, czego chcesz. Mój proces myślowy właśnie reżyseruje Fincher. Mam nadzieję, że moje życie też. Odosobniony ruch omnipotentnej kamery mówi mi: „Popatrz na to, to jest ważne: To, co ma się stać, musiało się stać”. Najpierw obserwuje jak wsiadasz do pociągu, potem się oddala, unosi wysoko i absurdalnie do tego stopnia, że to co widzi staje się modelem, tekturową makietą, że świat staje się filmem w tilt-shift. Kamera zaczyna sunąć w kierunku tego, co ma się wydarzyć, co miało się wydarzyć, co jest istotne. Za każdym razem, niezależnie od tego ile wersji tekstu napiszę. Za każdym razem wychodzi taki tani sentymentalizm. A potem ironia i cynizm. Zawsze to samo. Znam tylko jedną wersję tego, „co to, kurwa, znaczy być człowiekiem” i ona jest najważniejsza. Muszę coś zmienić, jeśli mam coś na tej Famie działać. Chyba. W międzyczasie jest 03:46. Pora iść coś zjeść na BP.

Dawid Panic

* Tekst powstał w nawiązaniu do trzydziściowego cyklu autorstwa Łukasza Gamrota, który ukazał się w 2016 roku na łamach „Famiasta”.

Cuda nad Bałtykiem, czyli zakulisowe plotki i (re)animacja literatury

**W jaki sposób (i czy w ogóle) o książkach rozmawiać? Jak się mają imprezy branżowe? Wreszcie, po co komu, a Famie w szczególności, imprezy literackie? Na te i inne pytania trochę odpowie-
dzi, kilka spraw pod dyskusję, parę obietnic i jeden apel.**

Na początek krótkie ćwiczenie. Pomyślmy chwilę o Famie - jakkolwiek i gdziekolwiek. Planując sierpień nad morzem, czekając na napisy spiracznego już, nowego sezonu wiadomego (albo i nie) serialu, wygrzebując się spod stosu firmowych maili, przerzucając jednym palcem internetowe ciekawostki o tym, jak zwykły spinacz zamienić w pięć innych przedmiotów, w tym broń masowego rażenia w trzech krokach. Co widzisz najpierw? Najlepsze koncerty w przepalonym papierosami Jazz Clubie Scena, sztuki teatralne czy działania performatywne w przestrzeni miasta? Na pewno pierwsza do głowy nie przychodzi literatura, a to ona jest tu jedną z ciekawszych propozycji.

Sytuacja literackiego pola nie jest za wesola. Nie mam tu wcale na myśli corocznego wylewania łez nad zanikiem czytelnictwa. Zerknijmy za kulisy, przyjrzyjmy się tym, którzy literaturę piszą i tym, którzy zawodowo ją komentują. Wewnętrzne spory środowiskowe są bowiem tyle zabawne, co żenujące. Można je podsumować zaskakująco krótko bez obarczania nimi czytelnika, który wpadł tu i ówdzie dowiedzieć się czegoś o książce, a dowiedział się, że powszechnie uznani twórcy współczesnej literatury, kojarzeni raczej z lewą niż z jakąkolwiek inną stroną są: - i tutaj dowolne wariacje, w tym opcje wzajemnie wykluczające się - a) seksistami, b) rasistami, c) szowinistami, d) sługami patriarchy, e) niezaangażowanymi oraz - moje ulubione - f) dziadersami. Dyskusje, tak te wzajemne przerzucanki nazwijmy, prowadzą się do obustronnego gryzienia się po

łydkach, kiedy dany rozmówca (a przypomnijmy, że wszystkie „poważne spory” dzieją się na równie „poważnym” Facebooku, w gronie zasięgu znajomych poetów, poetek, krytyków i krytyczek, z których ci najbardziej interesujący i obrażani, jako jedyni zachowują powściągliwość; ponadto: pewien przypis autorski - niemal każdy z bohaterów tej historii ma w gruncie rzeczy bardzo podobny światopogląd) zarzuci drugiemu za mały ładunek lewicowości, zbyt wąskie rozumienie pojęcia, bycie podłym kapitalistą, a wreszcie stosowanie przemocy symbolicznej. Zimne poty, drżące nad klawiaturą palce. To najcięższy argument, z kategorii aksjomatów i napiętnowań ostatecznych, które najbardziej zażarta strona sporu, skupiona wokół (mimo wszystko interesującego) portalu wydającego świetne, fachowe książki, może wytoczyć.



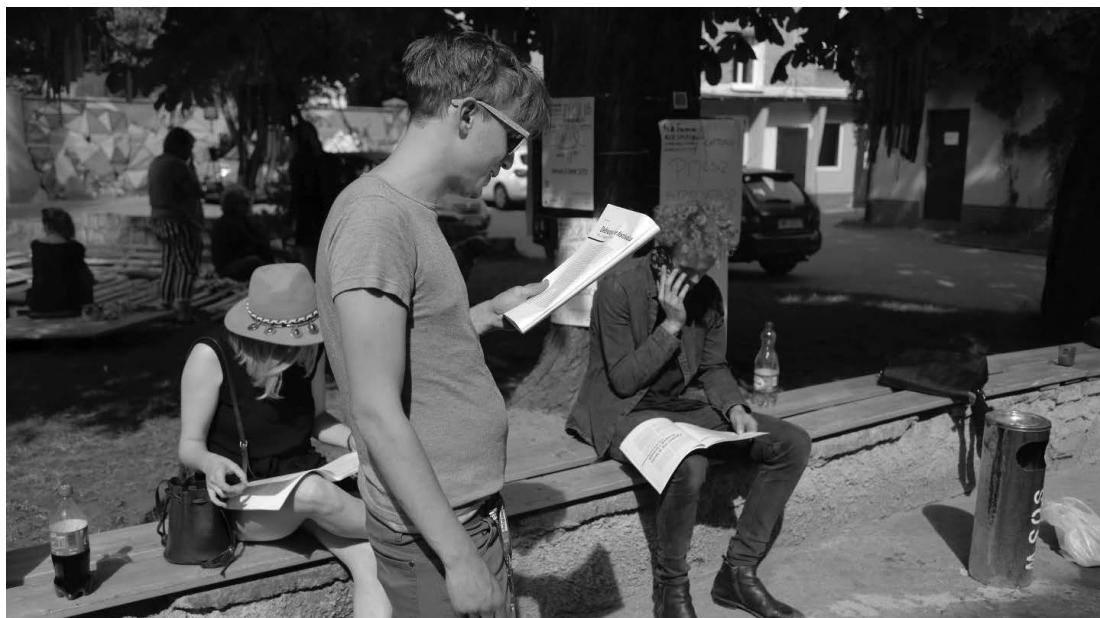
Fot. Archiwum Festiwalu

Szybki przegląd kondycji młodych (i starszych) gniewnych w dość średnim stopniu napawa optymizmem. A to dlatego, że profesjonalści, o których mowa, nie żyją tylko w internecie. Czasami zostawiają na chwilę portale społecznościowe albo ograniczają na nich swoją dostępność: organizują przecież duże i poważne festiwale, małe i większe debaty, pracują w katedrach literatury, pisują do magazynów i serwisów internetowych. Miejsy jednak jasność, że nie jest to całościowa diagnoza grupy, ale jej części, która ma bardzo dużą siłę rażenia i moc przebicia. Tak czy siak, obraz wyspecjalizowanych czytelników (bo nimi nasi bohaterzy bezsprzecznie są), wypada błado i miałko.

Literatura Famy jest więc czymś zupełnie dla mnie świeżym, zwłaszcza, kiedy zdemaskuję się i przyznam, że sama festiwale „branżowe” organizuję i z niejednej burzy internetowej zrobiłam printscreeny dla potomności, prowadząc alternatywny spór ze swoją flanką na czacie. Naprawdę, tylko tutaj jest możliwe, że ktoś spoza małego poletka akademickich „czytaczy” usiadzie rano z gazetą festiwalową, papieroskiem, kawką,

przyniesie sobie nawet sweter, bo trochę wieje. Nie zostawi w pokoju „Famiasta”, kiedy wygrzebie z walizki coś ciepłego do zarzucenia na plecy. Dośiędzie się do sekcyjnych warsztatów literackich, porozmawia swobodnie z redaktorką, reportażyką i famowiczami o tym, co sam uważa i - dajmy na to - w jaki sposób daną książkę rozumie. Właśnie po to powinno tworzyć się takie imprezy. Właśnie z myślą o tych, którzy z czytaniem nie są może na bieżąco, ale w kulturze chcieliby brać udział. Inkluzywność towarzyska w dłuższej perspektywie raczej nigdy nie wyszła nikomu na dobre. Kończy się to kilkoma smutnymi głowami zawieszonymi nad barowym blatem, odgrzewaniem przegadanych po stokroć sądów i błyskotliwych ripost.

To też świetna okazja, żeby wstydzić się trochę mniej. Podrzucić swój tekst do wkładki literackiej, przegadać go najpierw na warsztatach. Dostać wskazówki od świetnego poety, nie mniej świetnych reportażyków, otrzymać pełen pakiet opieki od redaktorki. Być po prostu czytany. Wiecie, myśli się, że halo, to przecież standard pracy i sens istnienia gazety. Otóż, drodzy Państwo, nie. Ale to opowieść na inny raz.



Fot. Piotr Morytko

Na razie mała zapowiedź: w tym roku w ramach cyklu Miejsca Literatury wprowadzić do rozmowy będzie można Magdalenę Kicińską, autorkę głośnego debiutu w Wydawnictwie Czarne *Pani Stefa*, czołową badaczkę feministyczną i powieściopisarkę Inę Iwasiów, Łukasza Orbitowskiego, laureata Paszportu „Polityki” za fabularyzowany reportaż - *Inną duszę*, Piotra Nesterowicza, reportera

opowieści o chłopskiej historii Polski, nominowanego do Nagrody Literackiej NIKE oraz Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego, poetę pastiszującego - Grzegorza Uzdańskiego, prowadzącego całkiem znany już facebookowy fanpage „Nowe wiersze sławnych poetów”, poetę i kanonicznego krytyka - Karola Maliszewskiego. Wypatrujcie i zagadujcie, tak trzeba.

Agnieszka Budnik

16

środa

godz.19:00

Galeria Sztuki
Współczesnej ms44
MIEJSCA LITERATURY
STREFY WRZENIA

ŁUKASZ ORBITOWSKI
spotkanie autorskie
ZDARZYŁO SIĘ W BYDGOSZCZY
moderator: Karol Maliszewski

17

czwartek

godz.17:30

Galeria Miejsce sztuki44
MIEJSCA LITERATURY
STREFY WRZENIA

MAGDALENA KICIŃSKA
spotkanie autorskie
1942
moderator: Karol Maliszewski

18

piątek

godz.17:00

Galeria Miejsce sztuki44
MIEJSCA LITERATURY
STREFY WRZENIA

PIOTR NESTEROWICZ
spotkanie autorskie
NOWA, LEPSZA POLSKA
moderator: Karol Maliszewski

20

niedziela

godz.18:00

Galeria Miejsce sztuki44
MIEJSCA LITERATURY
STREFY WRZENIA

GRZEGORZ UZDAŃSKI
spotkanie autorskie
WYCIECZKA NA KUJAWY
moderatorka: Monika Stopczyk

21

poniedziałek

godz.17:30

Galeria Miejsce sztuki44
MIEJSCA LITERATURY
STREFY WRZENIA

INGA IWASIÓW
spotkanie autorskie
SZCZECIN. MIASTO ODZYSKANE
moderator: Artur Daniel Liskowacki

Młoda sztuka w Świnoujściu

Obrazy, rzeźby, video-art i działania performatywne - wszystko to będziemy mieli okazję obejrzeć podczas wystawy „WAR” w Galerii Sztuki Współczesnej ms44. To już czwarta odsłona współpracy Famy z galerią Andrzeja Pawelczyka w Świnoujściu.

„WAR” - wrzący, gotujący się płyn, coś gorącego, żar, wrażenie gorąca odczuwane w jakiejś części ciała z powodu wstydu, lęku, podniecenia, gwałtowność, wielkie nasilenie czegoś, a wreszcie po angielsku wojna. To hasło wystawy, którą będzie można podziwiać podczas tegorocznej Famy w Galerii Sztuki Współczesnej ms44 prowadzonej przez Andrzeja Pawelczyka. Temat zainspirował ponad trzydziestu różnych artystów, których dzieła z szeroko pojętych sztuk wizualnych zostaną wystawione w galerii przy ulicy Armii Krajowej 13 od połowy sierpnia do końca września.

- Artyści młodego pokolenia, chcący uczestniczyć w wystawie, zaproponowali prace o dużym ładunku emocjonalnym i wysokim potencjale artystycznym. W ekspozycji weźmie udział dwudziestu sześciu twórców oraz grupa artystyczna, czyli łącznie ponad trzydzieści osób. Wybrano ich spośród ponad stu zgłoszeń - opowiadał w wywiadzie dla „Famiasta” Andrzej Pawelczyk.

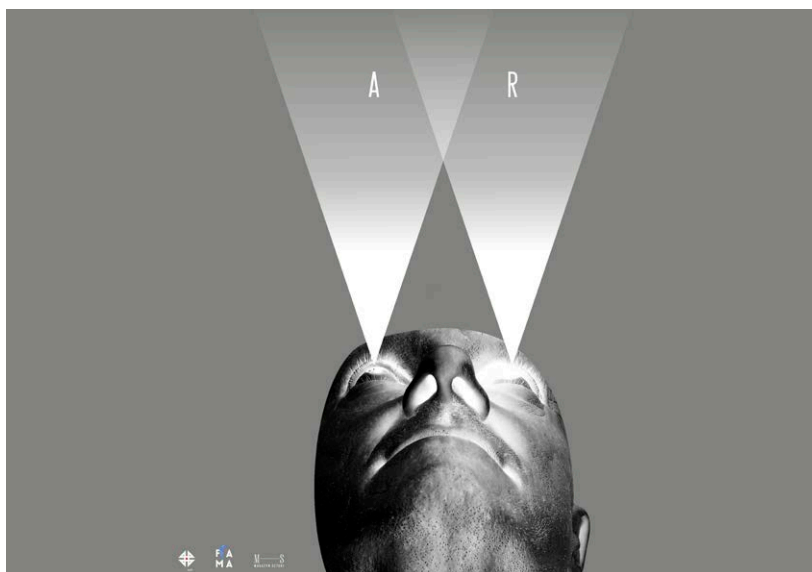
Wojna i wewnątrz człowieka

Jak tłumaczą twórcy, wystawa „WAR” jest projektem interdyscyplinarnym. To pełny przekrój poprzez tak zwane sztuki wizualne: od obiektów rzeźbiarskich, poprzez instalacje, grafikę, malarstwo do video-artu, a nawet działań performatywnych. W dodatku artyści szeroko ujęli zaproponowany temat. - Pojawily się w ich pracach odniesienia do konfliktów w Ukrainie czy Białorusi, a także sformułowania kompleksowe co do samej istoty pojęcia wojny i analizy tego zjawiska - zdradził kurator wystawy.

- Spora część zgłoszonych prac dotyczy jednak procesów dotyczących ludzkiego „wnętrza” i samego terminu „war”, które oznacza ukrop, wrzątek. Są to zawsze dzieła bardzo osobiste, pokazujące wewnętrzne procesy, które budują lub dezintegrują ludzką tożsamość - dodał kurator. Ich tematyczna rozpiętość sięga od oceny globalnych działań w polityce po analizę wewnętrznych przestrzeni. Przy czym, jak podkreśla Pawelczyk, nie ma wśród przyjętych prac takich, które odnosiłyby się do aktualnej sytuacji politycznej, co uważa on za bardzo korzystne. - Nie ma zatem prac z obszaru komentarza politycznego, które niestety zbyt łatwo zmieniają się w propagandę, za to są wśród nich takie, które wymagają przy odbiorze pewnego namysłu i intelektualnego dystansu do rzeczywistości - ocenia.

Wszystko wskazuje na to, że ekspozycja zaskoczy widzów także przestrzenią. Choć sama galeria Sztuki Współczesnej ms44 posiada dwie duże sale o powierzchni 60 i 130 m², to wystawa została poszerzona również o lokal użytkowy, w którym wcześniej znajdował się sklep z używaną odzieżą. Artyści planują też wyjść ze swoimi działaniami w przestrzeń miejską Świnoujścia oraz na plażę. Prócz indywidualnych twórców na Famie pojawi się również grupa artystyczna Wykwitex.

- Przygotowujemy wspólnie działania specjalnie na Famę. Planujemy zaadaptować część wystawy na stacjonarny sklep wytwórni Wykwitex w Świnoujściu - zdradza w wywiadzie dla „Famiasta” Irmina Rusicka, artystka, członkini grupy,



Projekt: Andrzej Pawełczyk

studentka Sztuki Mediów na Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu oraz wielokrotna uczestniczka Famy. Dodaje również, że ich działania łączą się ze specyfiką pracy Wykwitexu, wrocławskiej pracowni artystycznej. - Dotychczas wyprodukowaliśmy pierwszą linię produktów „Bravo Girls”, aktualnie pracujemy nad kolejnymi realizacjami - komentuje Rusicka.

Związek Famy z ms44

Wystawa „WAR” potrwa do końca września. Artysty, którzy będą prezentować swoje dzieła, to głównie studenci ostatnich lat Akademii Sztuk Pięknych albo już absolwenci, ale zdarzają się również doktoranci i osoby z doktoratami. Jest to bardzo „świeża” sztuka i choć artyści nie przekraczają 30 lat, wiek nie był kryterium przy ich wyborze. To już czwarta z rzędu famowska wystawa w Galerii Sztuki Współczesnej ms44. Wcześniejsze edycje „Habitat” (2014), „Ziemia obiecana. Podróż do granic utopii” (2015) - ta wystawa otrzymała nagrodę Trójzab Neptuna za najlepsze wydarzenie artystyczne 45. Famy, oraz „Ciało otwarte” (2016)

cieszyły się dużym zainteresowaniem nie tylko uczestników festiwalu, ale również mieszkańców Świnoujścia i turystów. Samo miejsce ms44 działa od 2013 roku i gości w swoich murach wielu uznanych twórców.

- Powołałem je do życia, ponieważ brakowało mi takiego miejsca na Pomorzu Zachodnim. Jest to galeria wystawiennicza, która zajmuje się sztuką współczesną lub zjawiskami, jakie z niej wynikają. Staram się

prezentować górne rejestry sztuki artystycznej, często pokazując awangardowe postawy dawniejsze i współczesne - tłumaczy Andrzej Pawełczyk.

Obecnie trwa tam wystawa Zofii Rydet, legendy polskiej fotografii. Wcześniej prezentowano prace Kamila Kuskowskiego, dziekana Wydziału Malarstwa i Nowych Mediów z Akademii Sztuki w Szczecinie; niedawno można było zwiedzać wystawę Andrzeja Ciesielskiego „Moje Archiwum”. Zapowiadany famowski przegląd również wpisuje się w prezentację artystycznych postaw w sztuce współczesnej. Jak deklaruje Pawełczyk, w ms44 stara się pokazywać rzeczy w twórczości najistotniejsze i najbardziej intrygujące. Po takich zapewnieniach nie pozostaje nic innego, jak tylko wybrać się do galerii.

Maria Kądzilska

Improwizacja wysokich lotów

Teatr improwizowany - forma, w której nie ma scenariusza, nie ma gotowych tekstów i nikt nie jest w stanie przewidzieć, co się za chwilę wydarzy. Zjawisko to w naszym kraju jest wciąż niszowe. Powstało już jednak kilka ciekawych projektów improwizowanych. Wrocławska IMPROKRACJA to jeden z nich.

Grupa swoją pierwszą przygodę ze sceną przeżyła w 2005 roku. Członkowie zespołu studiowali aktorstwo, tworzyli kabarety i wiele innych wrocławskich projektów, aby ostatecznie w 2011 roku oficjalnie na światło dzienne mogła wyjść IMPROKRACJA. Dziś występy grupy na stałe wpisują się w kalendarz imprez Wrocławia, gromadząc na widowni nie tylko zaznajomionych już z improwizacją, ale też osoby po raz pierwszy mające do czynienia z tą formą sztuki scenicznej. Są najbardziej doświadczonym projektem *improv* na Dolnym Śląsku i znajdują się w ścisłej czołówce naszego kraju.

- Kiedy tworzyliśmy IMPROKRACJĘ, nie inspirowaliśmy się niczym konkretnym. Wszystko powstało z twórczej potrzeby i miłości do tego typu komedii - tłumaczy Artur Jóskowiak, jeden z założycieli zespołu.

Improwizowane pokazy komediowe zaskakują zarówno publiczność, jak i samych aktorów. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, co się za chwilę wydarzy. Wszystko jest jednorazowe i na pewno się nie powtórzy. Widzowi może się wydawać, że sztuka *improv* jest dla aktora łatwiejsza - w końcu nie musi się uczyć dziesiątek stron tekstu scenariusza. Wychodzi jedynie na scenę i musi wykazać się dobrym refleksem. Nic bardziej mylnego.

- Główną zasadą improwizacji jest aktywne słuchanie tego, co mówi do ciebie partner i reagowanie na to. Po pewnym czasie nabiera się obycia, ale żadnych gotowych schematów na „nagły brak

weny” nie mamy. W zasadzie jest tak, że im więcej się zaplanuje, tym improwizacja wychodzi gorzej - podkreśla Mateusz Płocha.

Improwizacja uczy szybkiego reagowania na zmieniającą się sytuację. Nieraz występujący mają już zaplanowane dalsze losy swojej postaci, a jedno zdanie wywraca wszystko do góry nogami.



Wtedy trzeba tworzyć całą koncepcję od początku. Wszystko musi pasować do historii i całości spektaklu.

- W Polsce scena *improv* jest raczkująca i młoda. Mamy kilka miast, gdzie stale się rozwija i są to ciekawe kierunki. Nadal jednak nie jest to aż tak popularne jak np. w Stanach Zjednoczonych, gdzie praktycznie każdy, w jakimś momencie swojego życia, miał styczność z tym rodzajem teatru - podkreśla grupa.

Arystoteles w *Poetyce* stwierdził, że to właśnie z improwizacji zrodził się teatr. Grecy stworzyli potem tragedię i komedię, sztuki z długimi tekstami, których trzeba się było wyczytać na pamięć, ale przedstawienia w pełni improwizowane nigdy nie zniknęły.



Fot. Patrycja Wróbel

W renesansowej Italii tradycję teatru improwizowanego kontynuowali artyści *commedii dell'arte*, a w szekspirowskim Londynie wykonawcy *jigów*. Po odegraniu sztuki Marlowe'a czy Szekspira błążni z zespołu aktorskiego wracali na scenę, żeby zaimprovizować zabawny skecz, niekiedy w dialogu z widownią. Niektórzy elżbietańscy widzowie chodzili do teatru wyłącznie na *jigi*, a samych improwizatorów traktowali jak wielkie gwiazdy. Najślawniejszy z błążnów w zespole Szekspira, Will Kemp, przez miesiąc improwizował w drodze z Londynu do Norwich, błążując i tańcząc popularnego *morrisa*.

W czasach bardziej współczesnych teatr improwizowany zdecydowanie podbił Amerykę. Apogeum popularności *improv* nastąpiło w latach 80., trochę za sprawą telewizji i popularnego show „Saturday Night Live”, składającego się z serii skeczy na tematy bieżące, programu „An Evening at the Improv” oraz przedstawienia „Living Room”. Improwizacja w Polsce - zarówno jako element skeczu, jak również osobna forma rozrywki, aktualnie stale się rozwija. Słusznie, ponieważ jeżeli improwizatorzy posiadają dobry warsztat może być to naprawdę ciekawa forma rozrywki na wysokim poziomie. Stworzenie wciągającego i zabawnego spektaklu, podczas którego publiczność będzie się znakomicie bawić, wymaga od improwizatorów dużo ćwiczeń i praktyki.

- My podczas prób skupiamy się głównie na ćwiczeniu uwagi i technik komediowych. Słuchamy siebie nawzajem i myślimy nad tym, co zrobić, aby nasze spektakle były lepsze - mówi Artur Jóskowiak. - We Wrocławiu występujemy aktualnie raz w tygodniu m.in. w Vertigo Jazz Club i widzimy, że frekwencja widzów stale wzrasta.

Artyści Improkracji nie zdradzają, co przedstawią na Famię. Właściwie to do końca nie wiedzą, nie są w stanie tego przewidzieć. Są jednak pewni, że od sztuki *improv* są uzależnieni i na pewno wszystkich zaskoczą refleksem oraz ciętą ripostą.

Aleksandra Fedorczyk

Po prostu dobrze tam być

Dla Francis Tuana wizyta na tegorocznej Fami będzie już drugą. W 2013 roku razem ze swoim zespołem Katedra w Świnoujściu zdobył wyróżnienie. W rozmowie opowiedział o wspomnieniach z pierwszego pobytu, wyjątkowości festiwalu i o nowym muzycznym projekcie, z którym powraca na Famę.

Witold Regulski: Wiesz, kto w przeszłości tworzył muzyczną historię Famy?

Francis Tuan: Przede wszystkim osobą, która kojarzy mi się z tym festiwalem jest Marek Grechuta. Zdaje się, że jeszcze wcześniej w Świnoujściu występowała także Ewa Demarczyk, a później między innymi Dżem, który, o ile dobrze pamiętam, chyba nawet ma album koncertowy z Famy. Jeśli chodzi o nowszych muzyków to wiem, że zaczynali tam tacy artyści jak Piotr Rogucki czy Mela Koteluck. Przekrój muzyków związanych z festiwalem jest bardzo duży.

Te zasłużone dla polskiej muzyki nazwiska sprawiają, że udział w Fami jest czymś wyjątkowym?

Oczywiście, że tak. Ja o niej usłyszałem bardzo dawno, chyba jeszcze w gimnazjum i zawsze gdzieś w dalekiej perspektywie myślałem, żeby się na nią wybrać. Teraz jest mi to dane już drugi raz - to dla mnie duże wyróżnienie, między innymi właśnie ze względu na historię festiwalu. Jest to wydarzenie z dużymi tradycjami, więc radość z możliwości uczestniczenia w nim jest ogromna.

Jak wspominasz Famę 2013?

Na pewno wspominam jako pobyt na jednym z najlepszych festiwali, na których byłem. To wydarzenie nietypowe z tego względu, że jest to impreza, w której poza mieszkańcami i turystami będącymi w Świnoujściu uczestniczą głównie wykonawcy, artyści różnych sztuk, ludzie zainteresowani muzyką i innymi dziedzinami. To jest, jak myślę, w tym szczególnie i dzięki temu odbiór jest momentami pełniejszy.

Patrząc z perspektywy czasu, tamten występ w Świnoujściu pomógł Ci w jakiś sposób?

Chwilę po powrocie z festiwalu od razu skomponowałem kilka piosenek. Ta artystyczna atmosfera Świnoujścia bardzo mnie zainspirowała i zacząłem dużo tworzyć, pojawiły się pomysły na nowe projekty, które później realizowałem - pod tym względem to było świetne. No i poznaliśmy sporo muzyków, będących naszymi rówieśnikami, z którymi później spotykaliśmy się i graliśmy na różnego rodzaju wydarzeniach.

Powiedziałeś już, w czym tkwi fenomen Famy, a teraz chciałbym, żebyś opowiedział o projekcie Francis Tuana. Na czym polega jego wyjątkowość?

Pseudonim Francis Tuan obrałem mniej więcej rok temu, jednak na poważnie zacząłem grać dopiero w styczniu, kiedy wydałem swoją pierwszą solową Epkę *Poems* zawierającą wiersze angielskich poetów - Williama Blake'a i E.E. Cummingsa i Roberta Frosta w formie piosenkowej. To jest zupełnie inna muzyka niż ta, którą kiedykolwiek wykonywałem z Katedrą, więc na pewno nie ma mowy o żadnej powtórce. Co wyróżnia tę muzykę? Myślę, że niecodzienne połączenie instrumentów wietnamskich ze współczesną nutą alternatywnego grania. Wykorzystuję również różnego rodzaju stare vintage'owe graty, w sposób dość nietypowy, wydobywając z nich również dźwięki kojarzące się bardziej z muzyką elektroniczną. Na scenie loopuję, zapętlam różne motywy, a następnie nakładam ścieżki instrumentów, które - mam wrażenie - do tej pory rzadko były tak wykorzystywane. Myślę, że to, co proponuję jest jakimś powiewem świeżości.

Poems to inicjatywa jednorazowa, czy raczej kierunek obrany na tej płycie będziesz w przyszłości rozwijał?

Oczywiście, że będę rozwijał. W tym momencie szykuję materiał na pełen album solowy. Jeśli chodzi o Katedrę to utwory na drugą płytę są już gotowe i choć wymagają jeszcze wielu obróbek, to wierzę głęboko, że krążek ukaze się jeszcze w tym roku. W tej chwili jednak występuję tu i ówdzie jako Francis Tuan i jako że w pewnych środowiskach odbiór jest bardzo dobry, to na pewno ten projekt będzie kontynuowany.

Wcześniej z Katedrą, a teraz jako Francis Tuan zdobyłeś sporo nagród, odwiedziłeś też kilka festiwali. Jak na tle tych wszystkich wyróżnień postrzegasz sukces Katedry na Famię?

To wyróżnienie było oczywiście dla nas bardzo istotne, nawet jeśli było tylko wyróżnieniem, a nie większą nagrodą. Myślę, że ze względu na specyfikę naszej muzyki, która nie trafia do każdego, nigdy z Katedrą nie byliśmy zespołem, który wygrywał różnego rodzaju konkursy. Zazwyczaj kończyło się to na wyróżnieniach, czasem miejscach na podium. Jednak z każdego takiego docenienia naszej twórczości bardzo się cieszyliśmy. Wyróżnienie na Famię przed czterem laty było tym miłsze, że naprawdę wówczas było mnóstwo ciekawych występów. Z wieloma poznanymi wtedy muzykami kontaktuję się do dziś. Samo znalezienie się w takim gronie to było naprawdę coś świetnego.

Fama to jednak nie tylko muzyka, to dwa tygodnie najróżniejszych prezentacji artystycznych. Poza graniem koncertów będziesz uczestniczył również w innych wydarzeniach w roli widza?

Z pewnością chcę zobaczyć jak najwięcej, bo oglądanie występów innych wykonawców jest bardzo inspirujące. Przynajmniej dla mnie jest to duża doza natchnienia. Zresztą znam kilka grup, które się w tym roku pojawiają, więc na pewno będę



Fot. Łukasz Kaczmarek

chciał obejrzeć ich występy. Na festiwalu będę cały drugi tydzień, więc zamierzam jak najlepiej wykorzystać ten czas.

Czego zatem oczekujesz od tegorocznej edycji?

Szczerze mówiąc nie robię konkretnych planów. Przede wszystkim chciałem wrócić, bo spodobał mi się ten festiwal, chciałem jeszcze więcej z niego skorzystać, bo po prostu dobrze tam być. Oczywiście myślę, że każdy, jadąc tam, liczy na to, że zostanie doceniony, bo dla nas wszystkich nasza twórczość jest czymś bardzo osobistym i ważnym, czymś, czym chcemy się podzielić, więc każda nagroda jest bodźcem do dalszego rozwoju. Myślę

jednak, że nie to jest najważniejsze. Dużym wyróżnieniem jest już móc tam pojechać i wystąpić. Dla samego doświadczenia warto się do Świnoujścia wybrać.

Witold Regulski

Koncerty Francis Tuana w ramach 47. Famy:

24
czwartek
godz.19:00

Muszla Koncertowa

25
piątek
godz.15:00

Mobilny Instytut Kultury
na Placu Wolności

Przegryw – synteza i rozkład famowicza

Te uczucie, kiedy zdajesz sobie sprawę, że życie nie ma do zaoferowania niczego lepszego, poza dwoma magicznymi tygodniami na undergroundowym festiwalu w Świnoujściu. Bezcenne.

Kiedy w sobotnie popołudnie, 5 sierpnia bieżącego roku, po raz pierwszy okłamałem redaktor Stopczyk, że pamiętam o napisaniu dla niej tekstów, nie miałem w ogóle wyrzutów sumienia. Przecież to było do przewidzenia. Nie wiem dlaczego ona mi jeszcze ufa. Bardzo możliwe, że znowu staje przed odwiecznym dylematem: uwierzyć w cuda czy pogodzić się z porażką. A ja z uporem maniaka, od wczesnego dzieciństwa, niezmiennie powtarzam, że jest tylko jedno właściwe wyjście: zaakceptować niepowodzenie. I w swojej osobistej opinii nie pozostaję osamotniony.

Piękne są chwile w życiu człowieka, kiedy okazuje się, że przyjeżdża on na festiwal i spotyka ludzi, którzy w przeważającej większości zamiast udawać wielkich artystów, są naprawdę

pogodzeni z myślą, że niczego w życiu nie osiągną; co więcej, nie przeszkadza im to raz w roku uwierzyć, że może być inaczej. I właśnie w tym miejscu chciałbym oddać hołd famowiczom, którzy zostali moimi serdecznymi znajomymi z Facebooka, a których niepowodzenia na każdym kroku utwierdzają mnie w przekonaniu, że może być gorzej. Proszę pamiętać, że nie pragnę sławy wynikającej z publikacji tego lotnego tekstu w poważanej gazecie festiwalowej, która w tym roku być może ukaże się w kolorze. Moje życie od dawna nie posiada żadnych kolorów poza czernią, wynikającą z faktu, że głównie śpię, a po przebudzeniu staram się nie otwierać oczu tak długo jak tylko można, bo lubię pomarzyć, że nie żyję. Finalnie i tak budzę się w piekle, na Śląsku, w Polsce, otoczony bandą debili, z których największym

jestem ja sam. I powiem wam szczerze, że można się przyzwycząć. Trzeba sobie tylko zrobić dziecko, żeby mieć świadomość, że spieprzyłeś komuś życie bardziej, niż twój rodzic tobie.

Minął rok od mojej przygody z festiwalem. Rok pełen złych decyzji - założyłem knajpę artystyczną, którą po miesiącu musiałem przemianować w festynową budę z dancinami dla starszych ludzi. Chciałem zapraszać kolegów z Famy i dzielić się sztuką z kuracjuszami w uzdrowisku. Niestety zrozumiałem, że jedyne na co czekają moi kuracjusze to zabawa disco polo i mój papier toaletowy. Musiałem znaleźć normalną pracę na jakimś kierowniczym stanowisku i udawać, że interesują mnie innowacyjne technologie przemysłowe. Nie mogłem przyjechać na Famę, bo podobno jak się jest na etacie, to nie można po prostu spakować laptopa do plecaka i udawać, że się pracuje między kolejnymi libacjami. Siedzę teraz gruby i spocony w mojej kuchni i zamiast oglądać kolejny odcinek „Gry o tron” piszę smutny tekst dotyczący festiwalu, na którym mnie nawet nie będzie. I jeżeli szukasz odpowiedzi na pytanie, co wydarzy się z tobą w przyszłości, właśnie ją uzyskałeś. To właśnie robi z twoim życiem Fama. Kiedy wrócisz po dwóch tygodniach przebywania w Nibylandii zrozumiesz, że ten smutny świat nie ma ci absolutnie niczego ciekawego do zaoferowania. Uzależnisz się od używki, która jest niedostępna. I nawet dopalacze w postaci koncertów famowiczów, na które zaczynasz jeździć, bo może akurat wrócą wspomnienia, finalnie okazują się marnym substytutem, po zażyciu którego masz kaca, serce ci nawala i rzygasz przez trzy dni. Niestety, taka jest prawda młody człowieku; poza krótką i marną namiastką szczęścia jaką jest festiwal artystyczny w Świnoujściu, życie nie przygotowało dla ciebie niczego więcej. Jednak nie smuć się kochany, to jeszcze nie koniec, a ja nie zwykłem pozostawiać czytelników w złym nastroju. Istnieje jeszcze jeden zasadniczy aspekt całej sytuacji, a o którym miałem okazję napomknąć na samym początku.

Po pewnym czasie, kiedy przerzuty jakimi są twoja rodzina, praca i kariera, zagonią cię na samo dno dna, czyli w miejsce, z którego jedyną

śluszną drogą wydają ci się warsztaty improwizacji i stand-up, nagle, zupełnie niespodziewanie okazuje się, że nie jesteś w tym wszystkim osamotniony. I właśnie tej radosnej refleksji chciałbym poświęcić moje kilka minut sławy na łamach Famiasta - jedyne go czasopisma, w którym poziom drukowalności jest na tyle niski, że mogę napisać, aż dwa teksty na numer. Okazuje się, że wokół ciebie pojawiają się ludzie, którzy osiągnęli jeszcze mniej niż ty, bo na przykład wygrali ten festiwal, ale poza dyplomem i krótkotrwałą nadzieją na sukces, której ty nigdy nie zaznasz, oni musieli pogodzić się z tym, że żyją w kraju Zenka Martyniuka i mimo, że mogliby być kimś, bo robią naprawdę cudowne rzeczy (nie tak jak ty), to muszą być np. Mateuszem Markiem. I dzięki takim ludziom jesteś w stanie się uśmiechać. Zapraszam więc do krótkiej przejażdżki po spustoszonej przez cygańskie wesele lazarecie, zwanym inaczej mazeniami niespełnionych artystów.

Rozmawiam z Mateuszem Markiem, wybitnym sprzedawcą butów w podmiejskiej galerii handlowej. Mateusz, o bardzo wyrafinowanym pseudonimie Matelko, który zasadniczo oddaje jego zdolności językowe i intelektualne, postanowił kiedyś, że zostanie śpiewakiem. Nie potrafił tego robić, ale to przecież jeszcze niczego nie przekreśla. Znalazł sobie jednego zdolnego (Aleksander Czerkawski) i jednego ładnego (Michał Zachariasz), a następnie wymyślił nazwę zespołu: Sekcja Muzyczna Kołłątajowskiej Kuźni Prawdzywych Mężczyzn. Zabiegi te doprowadziły go do miejsca, w którym przebywa obecnie - zamiast zarabiać na muzyce, sprzedaje obuwie ortopedyczne.

Łukasz Gamrot: Mateuszu, powiedz mi, jak to się stało, że będąc na samym dnie potrafiłeś upaść jeszcze niżej?

Mateusz Marek: Kiedy wygraliśmy festiwal kabaretowy PAKA 2017 mama napisała mi esemesa. To była piękna wiadomość, która znakomicie oddaje treść życia. Napisała w niej, że bardzo się cieszy, że nam gratuluje, że jest ze mnie dumna i wszystko to, co może czuć mama, która chce



dać wsparcie swojemu dziecku. Po chwili dodała jednak, że bardzo się boi, bo „znowu obudzą się w nas marzenia, a potem przyjdzie ta sama rzeczywistość”.

Rozumiem, że kliwa opowieść o esemesie, który krąży w Twojej rodzinie od pokoleń ma być odpowiedzią na moje pytanie. Pomóż mi jednak zrozumieć, co jest takiego niezwyklego w tym co robisz, że mimo braku sukcesów wciąż zgadzasz się na kolejne upokorzenia?

Andrzej Talkowski - artysta Piwnicy pod Baranami i kabaretu Kuźni, zdeklarowany famowicz i szlachetny człowiek wielu profesji powiedział kiedyś, że trzeba bardzo uważać o co się walczy, bo czasem jest tak, że walczysz, pracujesz, trudzisz się i okazuje się, że na końcu jest... jedna, wielka kupa gówna. Nie dowierzasz więc własnym oczom, przerzucasz to gówno i wierzysz jednak, że tam dalej jednak coś jest, a tam dalej jest... jeszcze więcej gówna. Rozumiem Andrzeja Talkowskiego. Ludzie zakładają rodziny, cieszą się z dzieci, wyjeżdżają na wakacje, chodzą do normalnej pracy, zarabiają fantastyczne pieniądze,

a my przerzucamy się tym gównem i to już nawet świadomie. Tego gówna trzeba przerzucić tony i dalej jest go tylko więcej, tylko może odrobinę jakby słodsze. Szukając puenty powiem tylko tyle: jak największe na świecie skrzyżowanie Rambo, Szwarcenegera, Brusa Wilisa i kilkunastu innych HIMENÓW, którzy właśnie odpalają cygaro i rzucają o ziemię rozgrzany do czerwoności karabin, patrząc na dokonaną przez siebie, wyuzdaną demolkę: Kocham to gówno (I love this shit).

Drogi czytelniku, jak miałeś okazję się przekonać, lider zespołu SMKKPM (to ci, którzy zagrali najmniej znaczący support świata, dla trzynastu osób, przed koncertem Scorpionsów, który odbył się 4 godziny później) w końcu zrozumiał, że ma bardzo wyrafinowane podniebienie i smakują mu rzeczy, w ich końcowym etapie przetworzenia. Pamiętaj, że i ty możesz znaleźć się w gronie wybitnych smakoszy orientalnych potraw i dołączyć do jego zespołu. Przekonał się o tym wybitnie uzdolniony gitarzysta i informatyk z Podkarpacia, Aleksander Czerkawski. Zapytany o to dlaczego jest życiowym przegrywem odpowiada:

Aleksander Czerkawski: Każdy z nas, jeżdżących na Famy, inne przeglądy, konkursy, próbując się nieśmiało pokazać z tym, co robimy, jest nieudacznikiem. Każdy z nas próbuje przeskoczyć samego siebie i pokazać, że jest wart więcej, bo ma jakieś artefakty, których nie mają inni. Gdybyśmy byli w porządku, nie potrzebowalibyśmy tego. Co gorsze, te nasze artefakty, nasza twórczość często jest tak żadna i żalonna, że zamiast nas dopalać, dodawać nam wartości, jakiegoś splendoru, jeszcze bardziej nas upokarza. W oczach znajomych, mamy, szefa, publiczności. W najlepszym wypadku raz na rok opowiemy tym ludziom, że dostaliśmy wyróżnienie ex aequo na nikomu nieznaną imprezie. Pogratulują nam, ale i oni i my sami dobrze wiemy, że to nic nie znaczy i że lepiej nie byłoby robić tego wcale, niż błaznić się tym, że to jakikolwiek sukces. Inną sprawą jest oczywiście sytuacja, gdy rzeczywiście, po latach uporczywej pracy, walki z całym światem, po wielu wyrzeczeniach niezłomnego ducha osiągamy ten wielki sukces, pieniądze i sławę. Wtedy przestajemy być



nieudacznikami. Jednak, jak wiadomo, to nigdy się nie wydarzy.

Podobnie do sprawy podchodzi konkubina Aleksandra, której największym artystycznym sukcesem było poderwanie chłopaka, którego w zasadzie wszyscy mają za gościa od oświetlenia.

Katarzyna Duraj:

Nie wiem jak to jest wygrać Famę. Do największych osiągnięć mogę zaliczyć to, że na tegoroczny festiwal zostałam w ogóle przyjęta z zupełnie nowym projektem wymyślonym pod prysznicem, kiedy brałam kąpiel po ubiegłorocznej edycji i uznałam, że coś tam trzeba w życiu zrobić (to również motywujące właściwości Famy, taki „kołczing dla ubogich”). Przez dwa ostatnie lata byłam waletem, teraz jadę do Świnoujścia gotowa do działania, ale zamiast wygraną i konfetti, skończy się najpewniej przeziębieniem, zimnymi prysznicami i toksoplazmozą. Już nie mogę się doczekać.

Wypowiedź Katarzyny pozwala nam przypuszczać, że nawet na Famie nie zrobi niczego interesującego, ale warto się starać, bo w innym przypadku możesz zostać Szymonem Żurawskim (SzymonMówi). Jeżeli byliście na każdym offowym festiwalu muzyki niezależnej, słuchacie płyt wydawanych w podmiejskich szaletach i stawiacie budzik na 04:00 rano żeby posłuchać audycji o debiutach muzycznych w Radiu Kazachstan i nadal nie kojarzycie o kim mówię, to znaczy, że mówię o Szymonie.

Wypowiedź Katarzyny pozwala nam przypuszczać, że nawet na Famie nie zrobi niczego interesującego, ale warto się starać, bo w innym przypadku możesz zostać Szymonem Żurawskim (SzymonMówi). Jeżeli byliście na każdym offowym festiwalu muzyki niezależnej, słuchacie płyt wydawanych w podmiejskich szaletach i stawiacie budzik na 04:00 rano żeby posłuchać audycji o debiutach muzycznych w Radiu Kazachstan i nadal nie kojarzycie o kim mówię, to znaczy, że mówię o Szymonie.

Szymon Żurawski: Jestem życiowym przegrywem. Przyznać się do tego to dla mnie żaden problem. Niczego nie jestem bardziej pewien niż tego. Mam wszystko żeby osiągnąć sukces - kreatywność, charakterystyczny głos, możliwość pracowania 16 godzin na dobę, zdrowie... Jednocześnie posiadam również kilka cech, które torpedują mi to wszystko. Uczucie, że nieważne co zrobisz, to ktoś zrobi to lepiej. Nieważne co zrobisz, to znajdzie się ktoś, kto to skrytykuje. Brak kasy na sprzęt. Brak kasy na studio. Brak kasy na zdobycie wiedzy. Brak kasy na jedzenie. Walka pojawia się bardzo rzadko, są tylko zrywy. Codzienna praca jest męką. Ostatecznie nie wychodzi z tego nic. Jestem jak bohater „Jestem Bogiem”. Tylko że z tej części filmu, w której nie brał narkotyku. Wszystko przychodzi mi z wielkim trudem, wszyscy są lepsi ode mnie. Nawet jak zrobię coś do końca, to efekt finalny jest dla mnie żenujący. Nieporządek i lenistwo kroczą za mną jak najlepsi przyjaciele. Jestem definicją pokolenia. Smartfony, tani McDonalds i kredyty rodziców zrobiły z nas zombie niezdolne do podjęcia walki. Może czas rzucić tym wszystkim? Jaka generacja? Była już generacja nic, my jesteśmy chyba generacją *trzeba umrzeć. Teraz.*

Szymon od kilku miesięcy jest szczęśliwie zakochany. Kiedy w zeszłym roku poznałem go na festiwalu, wołał pić ze mną do szóstej rano, niż korzystać z frywolnych propozycji zaznania odrobiny uczucia. Pozwała mi





to codziennie wstawać rano i wierzyć, że ktoś ma gorzej. Szanujemy go za to.

Myślicie, że to koniec? Właśnie się rozkręcamy. Swój zeszloroczny debiut na festiwalu podsumowuje Łukasz z Bałut, którego akurat możecie kojarzyć, bo jako jedyny, on po prostu nie potrafi nie być artystą. Po dziesięciu dniach spędzonych w towarzystwie moim i Szymona, w końcu wstał i zapytał, czy my nie potrzebujemy choć na chwilę się zamknąć i pomilczeć. I poszedł.

Łukasz z Bałut: Ja o sobie tak myślę, jako o życiowej spierdolinie na przykładzie slamu zeszlorocznego. Wygrałem siebie, przegrałem życie (slam), ale musiałem powiedzieć to, co powiedziałem i nie mogłem nawet rywalizować normalnie z Ziomekiem z mojego miasta.

Wydaje mi się, że ludzie mnie szanują, często chyba nawet kochają, bo zmieniłem to w sobie... bo kiedyś albo mnie kochali, albo się mnie bali. Moim osiągnięciem jest to, że w końcu mnie szanują, ale może ja jeszcze nie potrafię szanować siebie... Nie przyciągam samych zajebistych sytuacji, nie chcę się uczyć, chcę uprawiać własną filozofię, która

jest zbyt powolna dla tego świata, ale mam w tym jakąś charyzmę... może o to chodzi.

O charyzmie natomiast niewiele ma do powiedzenia Grzegorz Duszak, lider zespołu Grzeczni Chłopcy, których największym wyróżnieniem było zagranie dancingu dla piętnastoosobowej publiczności w Goczałkowicach-Zdroju, za co skasował nieprzyzwoite pieniądze, najadł się za darmo i na koniec wyciągnął swoją butelkę wódki, którą rozlewał pod stołem w knajpie zatroskane-go o los polskiej sztuki melomana spod Pszczyny.

Grzegorz Duszak: Generalnie, słabo rozumiem ludzi, przez co ich nie lubię. Najbardziej nie lubię jednak artystów - oni tłumacząc się wiecznie wysoką sztuką, karmią swoje ego. Z artystów natomiast najbardziej nie lubię śpiewających gitarzystów, więc jadąc na Famię, zmuszam się do życia z tymi ludźmi, a robię to tylko po to, żeby nakarmić swoje ego, bo przecież po to nauczyłem się grać na gitarze i śpiewać.

W dalszej części swojej nudnej wypowiedzi, która daje Wam tylko przedsmak ich koncertu, Grzegorz próbował obrazić swojego rozmówcę, jednak

mu się nie udało, bo na równi z brakiem talentu, brakuje mu również błyskotliwości. W przeciwieństwie do kolejnego anonimowego artysty, który pojawił się na festiwalu i więcej nikt o nim nie słyszał.

Mateusz Płocha: Żyję trzeci rok w mieszkaniu, w którym zostałem po tym, jak moja eks zrobiła mi burdel w życiu. Nie potrafię ulepić po tym kolejnego związku i chyba zostanę sam do końca życia. W zeszłym roku wygrałem Famę, co nie przełożyło się na sukces w życiu prywatnym. Cóż, życie jest chujowe, wszystko co robimy nie ma znaczenia, wszyscy umrzemy, chodźmy się napić piwa na plaży o 05:00 rano*.

Podobne ukłony w kierunku kolejnych uczestników festiwalu zatytułowanego „porażka albo chodźmy robić sztukę”, zdarzają się nader często. Grupa wsparcia jaką stanowi środowisko famowiczów pozwala poczuć się jak na koloniach ufundowanych przez urząd pomocy społecznej. Wszyscy są biedni, więc nie musisz niczego udawać. W podobnym tonie wypowiada się wybitny muzyk Gypsy and the Acid Queen, który niestety nie ma w sobie na tyle odwagi, żeby skorzystać z możliwości, jakie dają programy typu talent show, więc klepie biedę i gra na ulicy.



Kuba Jaworski: Jestem przegrywem bo: mam krzywy ryj, słabo gram na gitarze (a jest to rzecz, którą robię najlepiej), jestem leniwy, nie mam wycucia mody, co skutkuje tym że większość czasu wyglądam jak wszawy łuj, jestem muzykiem (i nie gram disco polo), więc jestem biedny. Moje największe osiągnięcie jako spierdolinoi życiowej to wstanie dzisiaj z łóżka i odpowiedzenie na te pytania. Życie przegrałem już dawno temu, więc wygranie Famy nic tu nie zmieniło.

I absolutnie niczego nie zmieni, bo Fama to tak naprawdę chwila zapomnienia, ucieczka ostatnim bezpłatnym autobusem do raj, z którego za chwilę cię wyproszą, bo o północy zamykają lunapark. Koniec bału, słońeczko, i teraz wypad na porośnięta petami ulicę. Na całe szczęście to nie Chorzów, nie Katowice. Masz tramwaj do domu, który nawet o tej porze wypełniają dobrzy ludzie. Poczęstują cię piwem, wyciągną gitary i zaczną śpiewać piosenki, które znasz. Oni znają się na rzeczy, znają ten stan i wiedzą jak zamortyzować upadek, bo lecą już nie po raz pierwszy. I taka właśnie jest Fama, bo taka chyba jest szuka, po prostu. Przegrywasz każdego dnia, żeby uświadomić sobie, że robisz to tylko po to, żeby być szczęśliwy. I nie ma niczego więcej. No może poza ludźmi, którzy mimo sporej niechęci do własnej egzystencji, pozostają jednymi z najbardziej wartościowych nieudaczników, jakich masz szansę w tym wymiętym życiu spotkać. Dlatego skończ już czytać ten pisany pod publiczność tekst, kup tyle alkoholu ile zdołasz unieść, siądź na Oflagu i wypij za zdrowie Gamrota, bo w momencie, w którym czytasz ten tekst, on jest zupełnie nagi, wysmarowany smalcem i przygotowuje się do napisania długiego tekstu o tym, dlaczego cię nienawidzi.

Pozdro misiel!
Łukasz Gamrot

Fot. Stanisław Zarychta

* tak naprawdę nie jest tak źle, ale Gamrotowi może być przykro, że jest takim życiowym nieudacznikiem, więc staram się sympatyzować z kolegą.

czy jest, czy nie ma

Jak mija czas w Internecie? Historia przeglądania wyznacza ścieżkę pomiędzy tym, co obecne, a nieobecne. Potrzebne są ślady, po których się wraca.

Kto usilnie szuka czegoś w sieci i nie może znaleźć, wystawiony jest na niebezpieczeństwo usłyszenia tekstu z nowego pokolenia żartów z brodą, które nigdy nie były śmieszne: „skoro nie ma tego w Internecie, to nie ma tego wcale”. Choć już w 1994 roku w Internecie umieszczono stronę rządu polskiego i odtąd każdy ciekawy świata użytkownik mógł dowiedzieć się, że Rzeczpospolita Polska istnieje, to sami Polacy zaczęli istnieć dopiero w dwa lata później, wraz z nadejściem ery modemu Telekomunikacji Polskiej. I to nie jest śmieszne, że tych Polek i Polaków wcześniej po prostu nie było.

Myśl o nieobecności, czyli braku, naturalnie wzbudza niechęć, zwłaszcza gdy dotyczy kwestii fundamentalnych, na przykład budujących tożsamość. Budząc się któregoś dnia zorientowałam się, że mojego laptopa po prostu nie ma, brakuje w mieszkaniu. Taki cios - nieobecność ukochanego - Roland Barthes rozpamiętywał przez prawie 400 stron, a ja przez drugie tyle ogłoszeń o laptopach bez pudełka na OLX-ie, co pozwoliło mi myśleć,

że ja i on doświadczyliśmy czegoś podobnego. W związku z tym tekst na kolejną Famię zmuszona byłam napisać na starym komputerze brata. Klawiatura wytarta rozmowami na



Graf. Betina Bożek

Gadu-Gadu, folder STUDNIÓWKA_2008 i tapeta ze świeżo wydaną grą „Wiedźmin: Edycja rozszerzona PC” skutecznie przeniosły mnie dziewięć lat wstecz. Jak podaje Wikipedia, mający miejsce w styczniu 2008 roku, 16. finał Wielkiej Orkiestry

Świątecznej Pomocy zebrał 32 mln zł. 26 lutego - polski rząd uznał niepodległość Kosowa. W marcu natomiast Śląski Uniwersytet Medyczny w Katowicach uruchomił pierwszy w kraju program świadomej donacji zwłok. Po cichych dniach kwietnia, maj zaskoczył nas czwartym Ogólnopolskim Złotem Szkół i Placówek im. Kawalerów Orderu Uśmiechu w Głogowie. W czerwcu Sławomir Mrożek po raz ostatni przeprowadza się do Nicei, a we wsi Izdebki oddano do użytku pierwszy obiekt sportowy wybudowany w ramach programu Orlik 2012. W rozpisce na lipiec Famy nie ma, ale pewnie dlatego, że to już jej 38. rok z rzędu, co wyglądałoby głupio, skoro mówimy o nowościach.

Ale czy na pewno? Oficjalne archiwum Famy zawiera odnośniki do lat 2008-2016. Strona z 2008 roku jest szarym paskiem na czarnym tle i prezentuje zdjęcie z imprezy DJ-skiej, na którym wszyscy albo noszą dredy, albo czapki z daszkiem. Świat wtedy tak właśnie wyglądał. Niżej notatka, która w obliczu dzisiejszych kategorii nagród może wzbudzić niemalą zazdrość: „Nagrodę Tajemniczego Wielbiciela Talentów (w skrócie TWT) w wysokości 300 zł otrzymuje Piotr Krępeć.” Więc choć oficjele zapewniają, że festiwal odbywa się już czterdziesty siódmy raz, na stronie znajduję potwierdzenie, że najwyższej od lat dziewięciu.

Czy jest na sali ktoś, kto był na **w s z y s t k i c h** edycjach festiwalu? Oprócz sławnych nazwisk, co na dowód po nich pozostało? Myślę, że te zagadki pomógłby mi rozwikłać jedynie TWT. Nie mam do niego numeru i ten kontakt wyobrażam sobie na kształt umowy Aniołków z Charliem, ograniczam się więc do śledztwa na YouTube. Tam zawsze jest lato. Tam Jan Wolek śpiewa „Dla jednego wariata co za mną lata” i jest '77. Jest Marek Dyjak na

krawędzi szkła. I szereg piosenek z '85, których nie da się dzisiaj słuchać, ale za tło mają piękny przykład polskiej szkoły plakatu: czterokrotny napis Fama ułożony w morskie fale. Jest trwający prawie godzinę, zawieszony poza czasem zapis dźwiękowy koncertu finałowego z 1990 roku. Ludzie, których nie pamiętam, są pamiętani. Tam był „Jacek Kleyff na plaży” i „WYŚCIG SALONU NIEZALEŻNYCH” z '74 - filmy usunięte, choć ich widma jeszcze wiszą. Ludzie, których nie pamiętam, są zapominani. Wracam do Jana Wołka i czytam komentarze. Użytkownik *Opies0z0Gai* 5 miesięcy temu napisał: „Ładnie zagrany Pan Janek. Tak myślę, jak się życie Pana Janka ułożyło. Jaki Pan Janek był młody i silny, pełen pasji, a jaki jest teraz? Czy jest, czy go nie ma? Co mógłby zagrać dzisiaj, o czym i dla kogo? Jaka to byłaby pieśń - jak dżuma - od której wszyscy uciekli by tchórzliwie. Ja bym został Panie Janku, bo Pan śpiewa to za mnie.?”

Trzeba poruszać się pomimo luk w tej opowieści. I tło nie jest przejrzyste, bo wyszukiwarka zamiast ograniczyć się do lokalizacji Świnoujście, Polska (53°N 14°E) rozpuszcza uwagę po całym globie. Jest tu amerykański serial musicalowy *Fame* z 1982 roku z hiszpańskimi napisami, a więc na przykład filmik: „Fama (Serie Tv)) 1x10 VAMOS, VAMOS TODOS Capítulocompleto en español”. Są piosenki Fernando Telletxea Oskoz'a, baskijskiego artysty o dwóch osobowościach - literackiej, pod nazwiskiem Oskoz i scenicznej - gdzie jako Fama w cekinowej sukience, zrzuca z ramion pióropusze boa przed oczarowanym mężczyzną (teledysk do utworu *Tatuaje*). Jest kanał „Fama usługi muzyczne” z nagraniami kapeli weselnej. Jest dużo różnych rzeczy, a paru nie ma.

Joanna Łepicka

5 rozmów na 5 urodziny Famiasta

„Famiasto” towarzyszy Festiwalowi Fama od 2013 roku. Na przestrzeni 4 lat uczestnicy sekcji dziennikarskiej i literackiej przygotowali łącznie 13 numerów gazety, która trafiła w ręce festiwalowych artystów, turystów i mieszkańców Świnoujścia. W jubileuszowym, 14. numerze, nie tylko przybliżamy twórczość tegorocznych dziennikarzy i literatów, ale także wracamy pamięcią do kilku rozmów, które ukazały się na łamach „Famiasta”. Mamy nadzieję, że ich lektura okaże się sympatycznym upominkiem urodzinowym.

A sobie, jak i czytelnikom, z okazji tego skromnego święta, życzymy kolejnej, pięknej i obfitującej w artystyczne doznania, Famy!

Redakcja

1

Rywalizację zamieniliśmy na współpracę

Studiują projektowanie graficzne na Akademii Sztuki, prowadzą Galerię w Alei Fontann w Szczecinie. Na Famię są nie pierwszy raz - nie pierwszy raz też zbierają tutaj laury. O kim mowa? O Piotrze i Kai Depcie-Kleście - zwycięzcach konkursu na identyfikację wizualną 45. Międzynarodowego Kampusu Artystycznego Fama.

Zuzanna Sala: W tym roku odwiedzacie Famię w szczególnej roli - jako autorzy identyfikacji wizualnej. Projektowanie nie jest jednak dla Was jedynym polem działań twórczych?

Kaja Depta-Klesta: Do grafiki poprowadziły nas różne drogi - Piotr studiował kulturoznawstwo, malarstwo, projektował murale; ja przezdługi czas zajmowałam się teatrem. Dowodem naszych wcześniejszych zainteresowań są między innymi osiągnięcia na Famię. Ja wraz z Zachodniopomorską Offensywą Teatralną zdobyłam Trójżab Neptuna w 2013 roku, a Piotr za wykonanie muralu został w 2009 roku Laureatem Honorowym Famy. W tej chwili skupiamy się przede wszystkim na projektowaniu graficznym. Większość prac, którymi się zajmujemy ma charakter użytkowy: ja uwielbiam zmagać się z wyzwaniami, jakie stanowią publikacje wielostronicowe, a Piotr opracowywać identyfikacje wizualne. Naszym wspólnym konikiem stał się plakat, który jest dla nas polem do swobodnych wypowiedzi artystycznych na tematy społeczne, polityczne. Do udziału w konkursie na identyfikację wizualną Famy nikt nie musiał nas namawiać. Mimo natłoku zajęć, zawsze znajdujemy czas na dodatkowy projekt.

W jaki sposób wyrażacie się poprzez plakat? Jesteście zaangażowani w konkretne działania społeczne, czy to Wasz sposób na uprawianie wolnomysłicielstwa?

K.D-K.: Jesteśmy jeszcze studentami i wiele tematów to propozycje, które otrzymujemy w ramach zadań semestralnych. Niektóre plakaty powstają w odpowiedzi na konkursy, a jeszcze inne pojawiają się, gdy coś nas nurtuje. Ja swój najlepszy plakat, który został doceniony w Rosji, Serbii, Japonii i Włoszech, wymyśliłam w trakcie trwania koncertu KNŻ. Okoliczności są różne, ale cel jest zawsze podobny - zwrócenie uwagi na sprawy istotne.

Wspólna praca nad jednym projektem to zajęcie trudne: niekiedy trzeba pójść na kompromis, skonfrontować różne idee. Jak sobie z tym radzicie?

Piotr Depta-Klesta: Jesteśmy parą, mamy wspólnego psa i przede wszystkim jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Nasze pierwsze próby projektowania we dwójkę nie były łatwe, ale w tej chwili znamy swoje mocne i słabe strony. W pracy staramy się to wykorzystywać. Czasami dobrych pomysłów jest kilka i musimy wybrać jeden, to jest chyba najtrudniejsze w pracy w duecie. Naszczęście mamy te same upodobania wizualne i jesteśmy wobec siebie szczerzy. Bardzo często korzystamy ze swoich wzajemnych korekt i to wychodzi nam na dobre. Rywalizację zamieniliśmy na współpracę i dzięki temu udaje nam się dochodzić do kompromisów.

Głównym motywem w opracowanej przez Was identyfikacji są dziki słuchające muzyki. Jak rozumieć ten akcent? Sztuka rzucana przed wieprze? Trafiająca pod strzechę?

K.D-K.: Oboje mieliśmy okazję być na Famiie i poczuć klimat tego festiwalu. Fama jest szalona, niestandardowa i na niej wszystko może się wydarzyć! Wielokrotnie obserwowaliśmy dziki hasające po Świnoujściu i to one były inspiracją do stworzenia plakatu. Chcieliśmy zrobić plakat, który będzie zabawny i zwariowany.

Dziki? W Świnoujściu?

K.D-K.: Nie mam pojęcia, skąd się wzięły w Świnoujściu - wiem jedynie, że bardzo łatwo spotkać watahę spacerującą w mieście lub po plaży. To już legenda Famy i na pewno dzików nie zabraknie na okładkach „Famiasta”, których autorami jesteśmy.

Dlaczego akurat akcent muzyczny znalazł się na Waszym plakacie?

P.D-K.: Nie chcieliśmy wskazywać na żadną konkretną stronę Famy (określać ją jako wydarzenie bardziej muzyczne, plastyczne czy teatralne). Chodziło nam o oddanie klimatu festiwalu, a nie zilustrowaniego w dosłowny sposób.

A kolorystyka? Ma znaczenie?

K.D-K.: Pomarańczowy jest energetycznym i ciepłym kolorem. Wybraliśmy go intuicyjnie, nie zastanawialiśmy się nad jego symboliką.

Czym jest dla Was wygrana tym konkursie na identyfikację wizualną Famy?

K.D-K.: Naprawdę ważnym osiągnięciem. Przede wszystkim udowodniliśmy sobie, że sukcesy są możliwe także, gdy działamy w duecie. Fama jest unikalnym wydarzeniem i czujemy się fantastycznie mając swój wkład w jego organizację. Pamiętam, gdy byłam tu pierwszy raz - wtedy

za identyfikację odpowiadała Zuzanna Rogatty. Podziwiałam jej pracę. Teraz to my odpowiadamy za wizualną stronę Festiwalu i mamy z tego ogromną frajdę. Najwięcej radości z projektowania budzi się w nas, gdy widzimy, że nasza praca jest wdrożona w życie, że ludzie korzystają z tego, co przygotowaliśmy.

Czy to znaczy, że nie jesteście zainteresowani wydawaniem albumów? Lepiej, by sztuka była żywa, powszechna, uliczna?



P.D-K.: Wszystko ma swoje miejsce. Jesteśmy projektantami. Sztuka, którą się zajmujemy, ma charakter użytkowy. Zdarza się, że nasze prace wiszą w galeriach, ale ich miejsce jest przede wszystkim na ulicach (pod postacią szyldów, banerów, plakatów), na ekranach (jako strony internetowe) albo w ludzkich rękach (w formie książek, okładek płytowych). Dzisiaj media się przenikają, wielka sztuka wychodzi na ulice, a prace *streetartowców* trafiają do galerii. Cieszymy się, gdy nasze projekty spełniają swoje funkcje, niezależnie od tego, w jakim miejscu się znajdują.

Jak miewa się w Polsce młody artysta graficzny? Wasze prace cieszą się dużym zainteresowaniem?

K.D-K.: Nasze plakaty były pokazywane na wystawach w wielu miejscach na świecie. Zainteresowanie plakatem jest bardzo duże. W Polsce organizowanych jest coraz więcej wydarzeń poświęconych projektowaniu. Doceniany jest nie tylko plakat, są przeglądy projektów dyplomowych czy wystawy znaków graficznych. Organizuje się wielkie panele dyskusyjne na tematy związane z designem. Zapotrzebowanie na grafikę projektową się zwiększa, więc młodzi projektanci mają się czym zajmować. Trudno powiedzieć, jak wygląda sytuacja młodych artystów zajmujących się sztuką czystą. Konkursów i wystaw na pewno nie brakuje, ale nie wiemy jak wyglądają ich kariery po zakończeniu studiów. W Alei Fontann pokazujemy przede wszystkim prace szczecińskich studentów, jednak największym zainteresowaniem cieszą się wystawy studentów z innych miast. Gościliśmy już artystów z Torunia, w najbliższym czasie pokażemy plakaty z Cieszyna.

Przed Wami jeszcze wspólne projekty czy może prace indywidualne?

P.D-K.: Mamy nadzieję, że jeszcze wiele wspólnych projektów przed nami. Kibicujemy sobie wzajemnie w naszych solowych zmaganiach z grafiką, ale staramy się współpracować, bo właśnie działanie razem najwięcej nas uczy.

Zuzanna Sala



Fot. Archiwum prywatne

2

Wyspy emigracji, wyspy iluzji

W jego twórczości i sercu wyspa zajmuje szczególne miejsce. Położone na 44 wyspach Świnoujście wydało się idealnym miejscem na spotkanie. Z Dionisiosem Sturisem, autorem reportażu *Grecja. Gorzkie pomarańcze* i *Gdziekolwiek mnie rzucisz. Wyspa Man i Polacy. Historia splątania* rozmawialiśmy przy okazji kolejnej odsłony projektu Miejsca Literatury.

Monika Stopczyk: Spotykamy się przy okazji Festiwalu Fama GAZ-SYSTEM Terminal Sztuki, który jest przedsięwzięciem o charakterze warsztatowym i edukacyjnym. W jaki sposób Ty sam zgłębiałeś tajniki reportażu?

Dionisios Sturis: Przede wszystkim poprzez lekturę. Czytałem bardzo dużo reportażu zanim zacząłem je pisać. Na studiach miałem warsztaty z Romanem Kurkiewiczem, a zajęcia poświęcone były literaturze faktu. Co tydzień tworzyliśmy bardzo krótkie, reporterskie teksty. Prowadzący rzucał temat i każdy pisał nie mniej, nie więcej, tylko 137 słów, a następnie czytaliśmy je wspólnie na zajęciach. Do tego bardzo dużo rozmawialiśmy o literaturze, co było bardzo wartościowe.

Kiedy zacząłem pracę w radiu, nareszcie opanovałem język. Tu nauczyłem się skracania i kondensacji treści. W mojej rozgłośni standardowa depesza może trwać około minuty. Teraz przygotowanie takiego materiału to dla mnie pestka. Teraz już wiem, jak w minucie opowiedzieć pół świata, ale jak zaczynałem, nie było to dla mnie takie proste. Chodziłem, klóciłem się, mówiłem: „słuchajcie, tego nie da się zrobić, to jest zbyt skomplikowane”.

Umiejętność związłego formułowania myśli z czasem zaczęła być coraz bardziej widoczna w moim pisaniu. Uciekam od rozległych opisów, staram się utrzymać język na wodzy, a całemu procesowi towarzyszy przekonanie, że każde zbędne słowo musi wylecieć. To się tyczy zarówno

redakcji, którą robię samodzielnie, ale także tej zewnętrznej. Ważne jest dla mnie, by nie zabierać czytelnikowi zbyt dużo czasu, zostawić go ze skondensowanym, czystym przekazem. To jest jedna z głównych reguł, których trzymam się podczas pracy reporterskiej.

Martyna Woch: Tekst pisany to nie jest jednak reportaż do słuchania. Nie obawiasz się, że ta skłonność do redukcji może być zbyt daleko posunięta?

To jest trudne, ale siadam do pisania trzymając się mocno w ryzach. Pisząc, regularnie muszę sobie przypominać, że to nie radio, że mogę dodać zdanie czy dwa i nic się nie stanie. Trzeba znaleźć złoty środek, to jest najtrudniejsze. Ryzyko jest jeszcze po drugiej stronie - mogę zupełnie puścić wodze. Miałem tak przy pierwszej książce. Kiedy tekst wrócił do mnie po redakcji, było w nim sporo zmian, skreśleń, poprawek. Przy *Gorzkich pomarańczach* miałem świetnego redaktora, poetę Adama Pluszka, który był niezwykle sympatyczny, ale jednocześnie bezwzględny w swojej pracy - to była dla mnie najważniejsza lekcja. Przy drugiej książce było tak samo - pracy redakcyjnej towarzyszyły rozmowy z redaktorką i przekazywane w ten sposób uwagi, równie cenne. Uważam, że zawód redaktora jest nie do przecenienia. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy rozpocząłem pracę w radiu, zacząłem pisać do gazet. Przy okazji licznych wyjazdów powstawały materiały, które później publikowałem w „Polityce”, „Gazecie Wyborczej”.

Pierwszy mój tekst z Malty poświęcony był uchodźcom przybywającym z Libii, a potem pisałem już głównie greckie artykuły. Ten czas w Grecji był intensywny, uczyłem się warsztatu będąc w ogniu wydarzeń, na bieżąco przygotowywałem materiały do radia, a następnie siadałem do tekstów dla gazet. Wisiałem na telefonie z redaktorami z Wyborczej, którzy mnie poprawiali, udzielali porad, wskazówek. Jestem osobą nastawioną na naukę i zdaję sobie sprawę, że warsztat pisania to jest jeszcze coś, nad czym muszę pracować.

M.W.: Jaką książkę poleciłbyś przeczytać, by zetknąć się z naprawdę dobrym reportażem?

Jest mnóstwo takich książek! Z ostatnich lektur na pewno *Jeden z nas*. Opowieść o Norwegii Asne Seierstad. Autorka ani razu nie przytacza w niej nazwiska Breivika, opowiadając historię nie tyle jego samego, co kraju, który go „wyprodukował”. Rewelacyjny reportaż, nominowany w ubiegłym roku do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego. Świetna jest też ostatnia książka Wojciecha Jagielskiego *Wszystkie wojny Lary*. Bardzo aktualna historia muzułmańskich uchodźców z Gruzji, którzy trafili do Europy Zachodniej. Jagielski rozmawia z ich matką, która została w Dolinie Pankisi, podczas gdy jej mąż i synowie opuścili ojczyznę. Żyjąc w bezpiecznej, może trochę nudnej Europie, synowie głównej bohaterki angażują się w wojnę i stają po stronie Państwa Islamskiego. To jest opowieść, która bardziej stawia trudne pytania, aniżeli daje na nie odpowiedzi. Dlaczego dochodzi do radykalizacji w zamożnej Europie? Czego brakuje uchodźcom czy imigrantom, że wolą jechać na niemal pewną śmierć? Historia wojenna opowiedziana z perspektywy nieszczęśliwej matki, bardzo intymna.

M.S.: Przygotowując się do napisania *Gorzkich pomarańczy* wykonałeś nietrywialną pracę, związaną ze zgłębieniem historii swojego kraju, jego przeszłości. Do tego dochodzi poznanie realiów, kultury, wreszcie języka. Jaki miałeś plan, na przebrnięcie przez ten cały proces?



W 2009 roku pojechałem na stypendium do Grecji i wtedy faktycznie mocno podszkoliłem grecki. Przez pierwsze trzy miesiące miałem blokadę, bo wszystko rozumiałem, ale miałem kłopot z odezwaniami się. Do tego stopnia, że z innymi stypendystami rozmawiałem po angielsku. Potem, jak już się przełamałem, wszyscy byli w szoku, że tak świetnie mówię po grecku. To sprawiło, że pisząc *Gorzkie pomarańcze*, język nie stanowił już dla mnie problemu, choć przeprowadzając rozmowy do książki - z pisarzami, politykami stresowałem się, ale jakoś dawałem sobie radę. Dużo wtedy podróżowałem. Przez około sześć tygodni mogłem bezkarnie przemieszczać się po kraju i poznawać Grecję. Poleciałem na Kretę, potem przyjechałem do Aten i stamtąd wyruszałem w inne miejsca. To było wspaniałe i pozwoliło mi przekonać się, jak bardzo różnicowany jest ten kraj - pod względem pogody, krajobrazu, zamieszkujących go ludzi i ich stylu życia.

Najtrudniejsze w tym wszystkim było mierzenie się z moją rodzinną historią. Rodzice się rozwiedli i ojciec został w Grecji. Utrzymywaliśmy kontakt z jego siostrami, ale z nim samym nie za bardzo. Grecja w moim sercu jest obecna, ale moja relacja względem niej jest jak relacja względem Polski, czyli love and hate (śmiech). Pisząc książkę musiałem mierzyć się z moim wewnętrznym wyobrażeniem na temat Grecji. Ona kojarzyła mi się bardziej ze złymi rzeczami, niż z dobrymi, właśnie dlatego, że nasza relacja była zapośredniczona przez ojca. Musiałem pracować nad tym, żeby ułożyć sobie własne stosunki z Grecją. I to trwa nadal, będąc trudnym procesem. Mam mnóstwo zastrzeżeń co do Polski. Momentami nie znoszę tego kraju, a czasami uwielbiam, tak samo mam z Grecją.

Teraz myślę o tym, by napisać drugą część *Gorzkich pomarańczy* i przyjrzeć się temu, co kryzys zrobił z ludźmi. Wcześniej pisałem o pierwszych przejawach kryzysu, więc pewnie jak tam pojadę za jakieś dwa lata (dekadę po tamtych wydarzeniach), skupię swoją uwagę na tym, co kryzys zrobił z tym krajem, z mieszkającymi w nim ludźmi. Myślę, że to będzie ciekawe doświadczenie.

M.W.: Piszesz o wyspie Man, o wyspach Grecji. Spotykamy się na wyspie Uznam. Czy są jakieś motywy, które łączą je ze sobą?

Łączy na pewno iluzja, którą daje wyspa. Mamy poczucie, że jest to miejsce bezpieczne. Z jednej strony, kiedy wybucha wojna, to ludzie tam jadą, postrzegając wyspę jako obszar, gdzie ominie ich zagrożenie, ale co w sytuacji kiedy zagrożenie przychodzi z jej wnętrza? Kiedy nie ma stamtąd drogi ucieczki? Dużo o tym myślałem, rozmawiając z mieszkańcami. Niektórzy faktycznie czują się tam jak w więzieniu - wyjazdy są drogie, trudne. Ja nigdy nie czułem się tak na wyspie, ale być może dlatego, że miałem zupełnie inną perspektywę - jestem tu tymczasowo i wkrótce wrócę na stały ląd. Na małej wyspie, jak Isle of Man, można żyć w poczuciu, że świat jest do ogarnięcia - widać jego granice.. Poznajemy miejsca, ludzi, lokalną historię, kulturę, lokalne ograniczenia, itd. Można poczuć się pewniej, jakby się miało kontrolę nad życiem, światem... To oczywiście jest złudne, ale bardzo fascynujące.

M.S.: Powiedziałeś, że będąc na wyspie masz poczucie kontroli. W dużym mieście tego nie czujesz?

Zupełnie nie. Szczególnie w Warszawie, w której mieszkam niecałe 10 lat. Dopiero niedawno się tam zadomowilem i jest mi z każdym dniem lepiej niż gorzej, ale zupełnie nie czuję, żeby to było moje miasto, moja przestrzeń. Nie znam swoich sąsiadów, miasto jest duże, głośnie, dzieje się w nim tyle rzeczy, ludzie są zabiegani, a tempo życia jest tak szybkie, że ja nie nadążam. Kiedy jestem na wyspie, to na wszystko znajduję czas. Na jednej ulicy mam pocztę, sklep z DVD, supermarket, pub. Wszędzie idę na piechotę, są piękne krajobrazy, a w takiej Warszawie dostanie się gdziekolwiek urasta do rangi wyprawy. Absolutnie nie jestem miastowy.

M.S.: Znamy już Twój stosunek do Grecji, Warszawy. Wiemy, jak ważna jest dla Ciebie Wyspa Man. A w jakiej relacji pozostajesz z Dolnym Śląskiem i Chojnowem?

To też jest moje miejsce, ale nasza relacja jest skomplikowana. Bardzo chętnie przyjeżdżam do Chojnowa czy do Legnicy, ale jednocześnie mam poczucie, że na stałe już chyba nie mógłbym tam mieszkać. Dolny Śląsk jest fascynujący, a jego powojenna historia jest ciągle nieopowiedziana. Pisząc drugą „grecką” książkę, bardzo dużo czytałem o Zgorzelcu, o Grekach, którzy zdecydowali się zamieszkać w tamtych okolicach. Jakiś czas temu miałem ochotę zrobić sobie taki reporterski tour po Dolnym Śląsku, pojeździć po różnych miejscowościach, poczytać o lokalnej historii. Zrobię to, gdy znajdę czas. Pamiętam wycieczki Niemców przyjeżdżających do mojego liceum w Chojnowie w latach 90. Organizowaliśmy dla nich przedstawienia grane po niemiecku. Polska była wtedy jeszcze szara i smutna, a oni wysypywali się z tych pięknych, luksusowych autokarów i wciskali nam po parę marek do ręki. My nie do końca wiedzieliśmy, dlaczego to ma miejsce, bo też nikt nas nie uczył przedwojennej historii tych

ziem. Dla lokalnej społeczności była ona nieznaną. Na pewno kiedyś chciałbym się tym zająć.

M.S.: Jeśli chodzi o południowo-zachodnią część Polski, to Filip Springer w *Miedziance. Historii znikania w świetny i zarazem poruszający sposób przekazał czytelnikom niezwykle ciekawą historię położonej w Rudawach Janowickich Miedzianki. Miasteczka, które zniknęło.*

Dolny Śląsk nadal czeka. Myślę, że takich książek powinno powstać przynajmniej kilkanaście. W Chojnowie również mam takich pasjonatów regionu. Jest na przykład kierownik domu kultury, polonista, ale on skupia swoją uwagę na dawniejszej historii Chojnowa, czasami, gdy miasto było niemieckie raczej się nie zajmuje. Przygotowując książkę, miałem spore trudności z dotarciem do informacji o Grekach mieszkających właśnie w Chojnowie - to też jest historia



zapomniana. Naczytałem się mnóstwa publikacji i trafiłem na wzmianki o pochodzących z mojego miasta wybitnych Niemcach, naukowcach, noblistach, o chojnowskiej społeczności żydowskiej. O tym się nie wspomina, brakuje takich informacji w lokalnych przewodnikach, książkach poświęconych miastu. Marzę, by jak najwięcej dowiedzieć się o tych terenach i móc kiedyś o nich napisać. W ogóle uważam, że pogranicza są bardzo ciekawe i stanowią kopalnię tematów. Nawet wczoraj, wracając na rowerze z Ahlbecku do Świnoujścia, zdałem sobie sprawę, jak na takich terenach silnie wyczuwalna jest energia, związana ze zderzaniem się różnych kultur.

M.W.: Okazuje się, że wszyscy troje jesteśmy z terenów przygranicznych, to jest bardzo ciekawe pod kątem tożsamości...

Tak, z natury rzeczy ludzie z pogranicza muszą się pytać, kim byli ich przodkowie, jaka jest ich historia. Jednak każdy, kto gdzieś wyjeżdża, musi mierzyć się z tym, że jego tożsamość nie jest jednolita. W naszym pokoleniu doświadczenie migracji jest powszechne. Ludzie wyjeżdżają do pracy, na miesiąc, dwa, dłużej. To, co przyjmujemy z innych kultur, zmienia nas. Nasza tożsamość ciągle ewoluje, nie wiadomo, kiedy ten proces się zatrzyma, ale pytanie też, czy jest potrzeba, by tak się stało?

Przy okazji pierwszej wydanej książki często byłem pytany o to, czy jestem bardziej Grekiem czy Polakiem. Na takie pytanie nie ma odpowiedzi. Jednym z bohaterów mojej kolejnej książki jest Kostek Christou, szef Towarzystwa Greków w Szczecinie - bardzo aktywny w środowisku mniejszościowym, usilnie starający się o to, aby

Grekom nadano status mniejszości narodowej, by pojawiły się środki finansowe na kultywowanie greckiej tradycji, kultury. Christou jest pierwszym pokoleniem uchodźczym, przyjechał do Polski w 1948 roku, więc prawie całe jego życie to była wielka nadzieja na powrót do Grecji, co za tym idzie, on ma zupełnie z inną optykę, u mnie to wygląda inaczej. Dla mnie to kwestia nazbierania na bilet, kupienia go i wylotu. Jestem trochę Polakiem, trochę Grekiem, trochę Manxem. Te tożsamości we mnie współgrają, choć od Greków często słyszę, że skoro mój ojciec był Grekiem, to i ja jestem Grekiem. Koniec kropka. Już się z nimi nie kłócę - oni wiedzą swoje, ja swoje. Przyznam, że mimo iż temat uchodźców jest jednym z głównych zagadnień, jakimi zajmuję się radiu, mam duży problem z tym, jak o nich pisać. Wydaje mi się, że kluczem może być przypomnienie o historii, o tym, że mieliśmy epizody, kiedy potrafiliśmy pomagać i nic złego z tego nie wynikło. Temat uchodźców jest obecnie najważniejszym wyzwaniem. Myślę, że mierzymy się z olbrzymim problemem i jako społeczeństwo przegrywamy, bo odmawiamy ludziom w potrzebie podstawowej pomocy. A jestem przekonany, że mogłoby być inaczej.

Monika Stopczyk

laureatka Nagrody za Popularyzację Inicjatyw Artystycznych w Świnoujściu (2013)

Martyna Woch

zdobywczyni wyróżnienia w kategorii Dziennikarstwo (2016)

Fot. Michalina Drygasiewicz,
Wojciech Nowak i Piotr Semberecki

3

Wyrostem z Famy, więc nie mam kłapek na oczach

Na festiwal trafił przypadkiem, jeszcze w latach 60. Razem z kolegami przyjechał tu na wakacje. Pewnego dnia mijał nieistniejący już dom studencki Wisus II, leżący przy promenadzie. Usłyszał muzykę, oklaski. Po wejściu do środka zobaczył chłopaka z gitarą, siedzących na podłodze ludzi. Do dzisiaj nie wie, kto wtedy właściwie grał. Ale na Fامية już został. - Dzisiaj jestem tu po raz szesnasty - opowiada nam Andrzej Śmigielski, jeden z tegorocznych jurorów.

Joanna Pachla: Początki Famy sięgają szarych i smętnych czasów PRL-u. Jak udawało Wam się tworzyć tak barwny festiwal w tak niesprzyjających okolicznościach?

Andrzej Śmigielski: Na przekór. Tworzyliśmy go na przekór. Jak choćby akcję z czytaniem wierszy. To była właściwie antypoezja. Zaaranżowaliśmy spotkanie z mieszkańcami miasta i przedstawicielami władz, ale na widowni posadziliśmy naszych przyjaciół. Mieli wcześniej przygotowane pytania, wykazywali żywe zainteresowanie naszą twórczością. Cała Fama wiedziała, o co chodzi, ale goście spoza festiwalu byli kompletnie zdezorientowani. Słyszeli wiersze, których nie rozumieli. Jak choćby: W prześwicie rozkraczonego baobabu nade wszystko widzę ciebie, mazowiecka sosno. Podczas odczytu autentycznie płakałem. Tymczasem dla tych bubków z PZPR-u to było kapitalne, że powstają u nas wiersze tak patriotyczne. A przecież to było straszne gówno!

Nie baliście się? O reakcję ze strony władz, mieszkańców? Wywracaliście przecież do góry nogami ich poukładany świat. Byliście barwni, głośni i kontrowersyjni, przynajmniej tak się Was dzisiaj wspomina. Czy może to już jest nieco przerysowany obraz, wynikający z pewnego nawarstwienia legendy?

Nie, tak rzeczywiście było. I to nie przez dwa tygodnie, jak obecnie, a przez cztery. Paradoksalnie,

w tamtych biednych czasach Fama trwała dłużej. A reakcje, oczywiście, bywały różne. Zdarzały się nawet mocne konflikty. Pamiętam, jak zorganizowaliśmy koncert, zaprosiliśmy na niego władze. Ustawiliśmy wielkie podium, fortepian, przygotowaliśmy bogoojczyźniany numer. Wszystko wskazywało na to, że będzie to eleganckie wydarzenie, zgodnie z życzeniami władz. Były występy, piosenki, wiersze, nawet finałny konkurs. Na festiwalu w Opolu jury głosowało wówczas kartkami, my wymyśliliśmy własny sposób. Otóż kiedy przedstawiałem nasze jury, otworzyły się nagle cztery pary okien, z których pokazało się jedenaście gołych dup. Dla władzy to był szok. Powiedzieli dobranoc i poszli. A my zaśpiewaliśmy im jeszcze na pożegnanie.

Może więc to ten bunt Was jednoczył? Kiedy słucham o dawnej Fامية, zawsze najważniejsza okazuje się wspólnota, której dzisiaj wyraźnie brakuje. Może nie jednoczymy się, bo nie mamy przeciwko komu?

Ale dzisiaj tak samo jest to możliwe. Przede wszystkim należy buntować się przeciw temu blichrowi cywilizacji, który nas otacza. Fama jest idealnym miejscem do tego, żeby zaprzeczyć powierzchowności tej kultury, która chce zdominować rzeczy inne, autentyczne, ważniejsze. Można się tu wiele nauczyć i wiele wspólnie zdziałać. Nie od razu trzeba przyjeżdżać z gotowymi projektami, wiele z nich może przecież zawiązywać się dopiero

tutaj. Tak, jak działa się to kiedyś. Jak choćby my, na dziedzińcu, na poczekaniu układający te nasze wiersze.

Dawniej ta spontaniczność była chyba dla Famy bardzo ważna, mocniej odczuwalna. To, że sporo projektów tworzyło się na gorąco, na miejscu. Dziś trochę tego brakuje.

Na pewno wtedy były to przedsięwzięcia na wielką skalę, o wiele większą niż to, co widuje się obecnie. Może było w nas więcej zapału, więcej ludzi garnęło się do tego, żeby zrobić coś wspólnie. Bo dopiero ta wspólnota budowała jakąś rzeczywistość artystyczną, odmienną za każdym razem. Dziś trudno mi to oceniać. Nie obserwuję pracy młodych ludzi z bliska, nie widzę, co dłubią w tych swoich pakamerach. Oglądam dopiero efekt końcowy. Rezultat, a nie proces powstawania. Moja perspektywa jest więc inna. Wierzę jednak, że ludzie, którzy tu przyjeżdżają, wyrabiają sobie gust, wyczulenie na fałsz i nieautentyczność. Uczą się od siebie nawzajem. Widzą, co jest dobre, co jest ciekawe. Czerpią od siebie. I to jest budujące. Wspólnota, a nie wyścig szczyrów. Idea, a nie komercja.

Niestety, wczoraj dało się usłyszeć zdanie odwrotne. Że niepotrzebnie się ta Fama zamyka, że dobrze byłoby ją nagłośnić, skomercjalizować. Że po co zamykamy się w niszy, skoro możemy być znani na cały świat. Kolejny paradoks?

I to niezwykle gorzki. Okazuje się bowiem, że wolność dała nam takie możliwości, które mogą zaprzeczać samej jej idei. Mamy prawo wyboru, a wybieramy niewolę, ograniczenia, komercję. Do tego chyba nie w pełni świadomie. Rozumiem, że ci ludzie chcą, aby ich praca została dostrzeżona i doceniona także w szerszym gronie. Takie podejście jest słuszne. Tylko że nie zdają sobie sprawy z tego, że komercjalizacja zakłada znacznie więcej, niż tylko wyjście do ludzi, pokazanie się. Nie myślą o tym, że będą musieli podlegać także innym jej prawom. Nie pojmują zagrożeń. Ten kompletny brak świadomości jest tutaj problemem.



Fot. Joanna Kurdziel-Morytko

I nie martwi Pana zarzut o to, że zamykamy się w getcie?

A niech mówią, że to jest getto. Bo to getto i tak jest dostatecznie duże, żeby wytwarzały się w jego obrębie nowe poetyki, nowe sposoby kreacji, artystycznego bycia. To z tego getta wychodzą później ludzie, grający na wielkich scenach. Proszę bardzo, nazywajmy to sobie gettem. Nie widzę w tym nic złego.

A jak wyobraża Pan sobie Famę za dziesięć lat? Pytam o to nie bez powodu, bo różnice między kolejnymi edycjami są jednak widoczne. Na początku nastawiona na sztuki sceniczne - aktorstwo, kabaret - dziś wydaje się w znacznej mierze festiwalem muzycznym.

To prawda. Trzy lata temu, kiedy byłem tu ostatnio, mieliśmy więcej teatru, bardziej widoczne

były happeningi. Ale rozumiem te zmiany i myślę, że różnorodność jest dobra, potrzebna. Sam skończyłem Akademię Sztuk Pięknych, interesuję się niemal wszystkim, co dzieje się w sztuce. Niedawno wydałem płytę, zapowiadam też koncerty jazzowe. To, że tyłu rzeczy dotykam i wiem tyle o różnych dziedzinach, to zasługa Famy. Dzięki temu, że z niej wyrosłem, nie mam kłapek na oczach.

A jest coś, co się Panu w Famie nie podoba? Musi podchodzić Pan do niej choć trochę krytycznie.

Nie podoba mi się pewien brak, niedostatki w tej różnorodności. Mamy spotkania z pisarzami, ale nie mamy dobrej prezentacji poetów młodego pokolenia. Rozumiem, że może wynikać to z braku takich postaci w ogóle, ale nie wszystko musi być od razu najwyższej klasy. Niech pojawiłyby się choćby jakiś zaczyn. Nieobecny jest również młody film, który tworzy się gdzieś w zakamarkach. Mało jest też teatru. Ale wina nie musi leżeć po naszej stronie. Może nie było co pokazać. Inna sprawa, że skoro nazywa się to Międzynarodowym Kampusem Artystycznym, to trochę brakuje tej międzynarodowości. Kto wie, jak by festiwal wyglądał, gdyby te wszystkie wydarzenia skonfrontować z inną kulturą. Co dałoby takie zderzenie?

Nie było takich pomysłów? Chęci otwarcia się na współpracę z innymi krajami?

Były i wciąż zresztą są. Moje obawy są jednak takie, że nie dotrze się w ten sposób do środowisk ciekawych, prawie podziemnych, które coś tworzą, dłubią w małym zakresie, w swojej własnej niszy. Że odbędzie się to na zasadzie urzędniczej transakcji: chcecie wymiany artystycznej? To my wam węgiel, wy nam banana, jak mówili kiedyś w kabarecie Kur.

I do tego pani sekretarka w urzędzie, wedle własnego upodobania układająca listę artystów.

W tym sęk. Dlatego nawiązać współpracę musiałyby nie urzędy i gminy, a środowiska artystyczne. Tylko wtedy miałyby to sens. To otwarcie się na inne kraje musiałyby być dobrze przemyślane. Owszem, incydenty międzynarodowe tworzą nową jakość, ale najlepiej dotykać konkretnych nisz, a nie działać przez władzę i sekretariat. Tylko to z kolei niesie ze sobą ryzyko i artystyczne, i finansowe. Stąd ta ostrożność, bo stąpamy po kruchym lodzie.

Tym bardziej, że z tymi finansami też bywa różnie. Przecież gdyby nie władze Świnoujścia, które z miejskiego budżetu zdecydowały się ratować sytuację, mogłoby nas tu dzisiaj nie być. Tak po prostu, bo ministerstwo nie przyznało Famie dofinansowania.

Za to przyznało dużą dotację Świątyni Opatrzności Bożej.

Joanna Pachla

laureatka Nagrody Dziennikarskiej im. Marka Kasza (2014)
oraz zdobywczyni wyróżnienia w kategorii Literatura (2015)

4

All that Jazz

Jazz Club Scena to kluczowe miejsce na kulturalnej mapie Świnoujścia. Nastawione na odbiorcę wymagającego, oczekującego od kultury i sztuki doznań niebanalnych. To tutaj artystyczny świątek miasta od lat łączy siły w wielu wspólnych inicjatywach. Właścicielem tego miejsca (a także towarzyszącej Scenie Restauracji Central'a), jest Dariusz Ryżczak animator kultury i pasjonat jazzu. Nie każdy wie, że Ryżczak jest również autorem popularnego w całej Polsce wściekłego psa. Okoliczności powstania drinka, działalność jazz klubu, spojrzenie na muzykę i miłość do Famy to tematy, które poruszyliśmy podczas luźnej rozmowy w Centrali.



Fot. Archiwum prywatne

Daniel Durlak: Na wstępie chciałem zapytać o następującą kwestię - przy wejściu do Restauracji Centrala możemy zobaczyć certyfikat wypicia pierwszego wściekłego psa w historii. Mógłby Pan opowiedzieć coś więcej o okolicznościach przyznania tego tytułu?

Dariusz Ryżczak: Kiedy razem z przyjaciółmi byliśmy około dwudziestki, każdy z nas miał swoje marzenia. Moim było posiadanie małego jazz klubu przy studiu nagraniowym. Zrealizował je zresztą w Szczecinie mój kolega. Ja natomiast, swój pierwszy własny jazz club otworzyłem 21

lat temu. Jak wiadomo, każde tego typu miejsce oprócz smacznej jajecznicy i prawdziwie dobrej kawy, musi mieć swój charakterystyczny drink w postaci klasycznego shota. To długoletnia europejska tradycja w takich klubach.

Teraz to, co powiem może być dla niektórych ludzi związanych ze sztuką barmańską zaskoczeniem. O co chodzi? Otóż, gdybym wtedy posiadał pełną wiedzę na temat barmaństwa, to na pewno drink by nie powstał. Nie zdawałem sobie sprawy z pewnej kluczowej reguły, która kategorycznie zabrania mieszania smaków ostrych i słodkich. Ja o tym nie wiedziałem i tak też powstał wściekły pies. Nazwa odnosi się do fascynacji debiutanckim filmem Quentina Tarantino (*Wściekle psy*). Razem z przyjaciółmi długo rozmyślaliśmy nad zatytułowaniem drinka, po wielu debatach doszliśmy do wniosku, że wściekły pies brzmi po prostu ok! To było dokładnie w maju 1994 roku.

Nie szkoda Panu, że wściekły pies nie został opatentowany?

Nie można opatentować drinka, wypada jedynie cieszyć się, że rzeczywiście się przyjął, pije się go w całej Polsce i jest już dość dobrze znany w skali światowej. Pozostaje mi tylko satysfakcja.

Zdecydowanie Pana można uznać za innowatora sztuki barmańskiej, ale głównym

torem Pana działalności jest animacja kultury w Świnoujściu. Jak prowadzi się Panu klub o sprofilowanym charakterze? Bardzo cenię sobie jazz, aczkolwiek mam też świadomość, że to muzyka nie dla każdego.

Uwielbiam jazz i mogę śmiało powiedzieć, że to muzyka, której słucham na co dzień. To jednak nie jedyne wytłumaczenie stworzenia klubu o takim profilu. To dla mnie pewnego rodzaju pierwsza forma selekcji gości. Oczywiście zapraszam do lokalu każdego, kto ma na to ochotę, ale sądzę, że hasło „Jazz” już daje do myślenia co poniektórym: być może będzie tutaj kocia muzyka i nie warto przychodzić. Nie zależało mi np. na klienteli, która słucha muzyki dyskotekowej. Jazz, tak jak wspominałem, to po prostu hasło, słowo - klucz, które robi wstępną selekcję dla moich gości. Poza tym, to nie tylko muzyka stricte jazzowa. Nie stawiam gatunkowych barier, chodziło mi o to, by prezentować muzykę różnorodną i przede wszystkim jakościową dobrą! Nieopierającą się na odgrywaniu coverów, odtwarzaniu „biesiady”, ale opartą na autorskim, oryginalnym spojrzeniu. Termin jazz nasuwa również skojarzenia pozamuzyczne. Kiedy mówimy jazz club, możemy spodziewać się wydarzeń na styku sztuk, spektakli teatralnych, wernisaży czy też paneli dyskusyjnych.

Skoro jesteśmy przy temacie sztuki, chciałbym zapytać o arcyciekawe wydarzenie, które miało miejsce w Pana lokalu: wystawę okładek płytowych wytwórni ECM (Editions of Contemporary Music - legendarna niemiecka wytwórnia muzyczna specjalizująca się w wydawnictwach z kręgu jazzu i muzyki współczesnej. W jej katalogach figurują min. tacy artyści jak: Jan Garbarek, Phillip Glass czy Tomasz Stańko). Jakie są okoliczności zorganizowania tego eventu?

Fanem tej wytwórni jestem od wielu lat. Od czasów, kiedy zainteresowałem się muzyką, nawiązywałem pierwsze współprace z zespołami czy teatrami, te dźwięki we mnie „rosły”.

ECM to jednak nie tylko muzyka, to także niesamowite podejście do jej wydawania. Okładki wytwórni są moim zdaniem małymi dziełami sztuki. Będąc w posiadaniu Centrali wiedziałem, że to idealne miejsce na takie wydarzenie. Kiedy pomysł narodził się w mojej głowie, postanowiłem napisać do Manfreda Eichera. Założyciel wytwórni, podszedł do inicjatywy z wielkim entuzjazmem. Otrzymałem wszelką pomoc od ECM za pośrednictwem wytwórni EMI Polska. Na rzecz wystawy otrzymałem 176 płyt, które zawisły w Centrali. Co ciekawe, miała trwać ona około miesiąca, ostatecznie potrwała pół roku. Okazała się sporą atrakcją. Goście przyjeżdżali z najdalszych zakątków Polski, żeby ją zobaczyć. Być może nie było to przedsięwzięcie o spektakularnym charakterze, ale traktując je w osobistych kategoriach, było to dla mnie wielkie osiągnięcie.

Nie chciałbym się powtarzać, ale ECM do dzisiaj jest dla mnie wytwórnią, którą szanuję najbardziej. Jej włodarze wybiegają w przyszłość i wyznaczają nowe kierunki. Myślę, że to, co będzie się działo w muzyce za kilka lat, ECM wie już dzisiaj.

Rozmawialiśmy o jazzie jako pojęciu. Teraz chciałbym zapytać o różnorodność programową Pana klubu. Oprócz wspomnianego jazzu, pojawia się w nim elektronika, pop, czy też rock oparty o punkowo-gitarową alternatywę. Jakie kryteria przyjmuje Pan przy układaniu programu wydarzeń?

W pierwszej kolejności kieruję się oczywiście osobistymi preferencjami. Chciałbym prezentować to, co lubię i co mi się podoba. Przez wiele lat działalności poznałem również dużo wspaniałych ludzi związanych z animacją kultury w Świnoujściu, którzy polecają naszej ekipie interesujące projekty. Jeśli dany artysta bądź zespół wydają nam się warci uwagi, a jednocześnie czujemy, że mogą przyciągnąć do klubu odpowiednią publiczność, to nie wahamy się ich zaprosić.

Poza tym, razem ze wspomnianymi animatorami tworzymy nieformalną radę programową. Skupiamy się również na prezentowaniu muzyki i sztuki, która niekoniecznie odnalazłaby się w takim miejscu jak Dom Kultury. A to dlatego, że ma on zupełnie inny profil, a my staramy się cały czas eksplorować awangardę i pewnego rodzaju alternatywę, która z wiadomych przyczyn w tak oficjalnych miejscach się nie pojawi.

Z Centralą związane są chociażby takie postaci jak Andrzej Pawełczyk, performer, animator kultury i właściciel Galerii Sztuki Współczesnej ms44, który jest autorem niezwykłych fresków we wnętrzu lokalu, czy też Andrzej Smolik, uznany muzyk i producent, promujący działalność Jazz Clubu w skali krajowej. Moje pytanie brzmi następująco: jakie czynniki wpływają na twórczy ferment, który rodzi się samoistnie wśród osób związanych z krzewieniem kultury w Świnoujściu?

Każde miasto powinno dysponować miejscem, gdzie ten ferment ma szansę na zaistnienie i działanie. Centrala to ostatni lokal, który stworzyłem. Wcześniej prowadziłem Jazz Club Teatralna, a także kawiarnię Casablanca. Myślę, że te miejsca od zawsze gromadziły establishment artystyczny Świnoujścia. Z tego miasta pochodzi wielu ciekawych ludzi, którzy na dany moment istnieją i liczą się w światku artystycznym. Jeśli chodzi o sztukę, z Andrzejem Pawełczykiem od wielu lat nadajemy na tych samych falach. Staramy się wybiegać w przyszłość. Bardzo interesuje nas to, co zdarzy

się w sztuce jutro. Współpraca polega również na tym, że staramy się tworzyć wspólnie, od początku do końca autorskie inicjatywy artystyczne.

Z Fama jest Pan związany od lat, a Jazz Club Scena funkcjonuje jako jedno z kluczowych miejsc na artystycznej mapie wydarzenia. Jak zatem ocenia Pan festiwal, dlaczego tak chętnie angażuje się w tworzenie go?

Fama to wielki znak towarowy, o które miasto powinno niezwykle dbać. I oczywiście dba, choć nie od dzisiaj wiadomo, że wielką przeszkodą są finanse. Gdyby były trochę większe, to Fama też mogłaby mocniej zaistnieć zarówno w Świnoujściu, jak i poza jego granicami.

Dla mnie osobiście ten festiwal to balsam dla duszy. Od lat czekam ze zniecierpliwieniem na kolejne edycje. Tak jak wspominałem, ze Świnoujścia pochodzi wielu interesujących artystów. Gdyby nie Fama, nie wiem, czy życie artystyczne tego miasta wyglądałoby tak, jak wygląda. Dzięki festiwalowi wyrósł w tym miejscu niepowtarzalny artystyczny świątek. I to taki, który ma realny wpływ na kształtowanie trendów w całym kraju. Może nie są one widoczne już dzisiaj, ale prędzej czy później zaistnieją też na wielkiej scenie. Dlatego myślę, że po tych 44 latach Fama mocno zaznaczyła swoją obecność na artystycznej mapie kraju. Tutaj zaczęli najwięksi polscy artyści i to jest dla mnie największą wartością tego przedsięwzięcia.

Daniel Durlak

zdobywca wyróżnienia w kategorii Dziennikarstwo (2014)

5

Kwestionariusz podróżnika kultury

Pisarz, tłumacz, historyk filozofii Krzysztof Środa, autor *Niejasnej sytuacji na kontynencie* (2003), *Projekt handlu kabardyńskimi końmi* (2006), a także *Podróży do Armenii i innych krajów* (2012), był pierwszym gościem fadowego projektu Miejsca Literatury. Motywem przewodnim tego- rocznej edycji jest podróż.

Martyna Tomczyk: Zacznę od podstaw. Czym dla Pana jest podróżowanie?

Krzysztof Środa: To jest trudne pytanie, bo ja pi- szę książki między innymi po to, żeby samemu się nad tym zastanowić. W jakimś sensie się wyjeżdża z ciekawości, w jakimś sensie się wyjeżdża, żeby uciec od tego, co się ma na co dzień. Takie dwie najprostsze rzeczy, jakie mi przychodzą do głowy.

A jak doświadczenie podróży przekuwa się u Pana w literaturę?

Ja kilka razy zauważyłem, że jak człowiek się wybierze do takiego kraju, w którym tak naprawdę nie ma nic do roboty, jak to się mówi, ale już przyjedzie i wychodzi na miasto, albo siada przy jakiejś drodze i nagle sobie zdaje sprawę, że nie ma z tym miejscem nic wspólnego. Pojawia się takie przykre, ale zarazem cenne poczucie oderwania od świata. Ja jestem z zewnątrz, ja nie jestem stąd. Ja mam wrażenie, że czasem wtedy się lepiej myśli, w takiej samotności, w takim braku bezpośredniego związku ze światem. I się patrzy na ten świat, z którym się nie ma nic wspólnego i może widzi się wtedy pewne rzeczy dokładniej niż wtedy, kiedy patrzy się na świat, u siebie przed domem.

Czy czytanie książek może być formą podróżowania? W ramach projektu Miejsca literatury rozważane są różne formy podróżowania, również takie w sensie metaforycznym, jak więc jest z tymi podróżami literackimi?



Fot. Piotr Morytko

Na pewno to coś daje, zależy też jak kto pisze. Ja chyba nie czytam aż tak dużo tego typu literatury, więc trudno mi powiedzieć, ale jest kilka takich miejsc na świecie, w których nie byłem, a z których mam jakieś żywe obrazy dzięki temu, że przeczytałem u kogoś kilka stron jakiegoś opisu: rynku, jakiejś ulicy, jakiejś sceny. Mam ten obraz, tak samo jak mam głowie te własne obrazy. Tylko ten jest raczej wyobrażeniem, bo nie wiem na ile autor mnie zwiódł, a może właśnie napisał to tak dobrze, że ja widzę tak jak było.

Jest Pan późnym literackim debiutantem. Skąd ten impuls, pomysł żeby pisać?

Skąd ten impuls? To było zabawne, bo ja właśnie w którymś momencie, miałem może ze czterdzieści lat i pomyślałem sobie: „o, pojedę w wielką podróż, jeszcze nie wiem, dokąd, ale na pewno gdzieś daleko”. Bardzo mi się ten pomysł spodobał i zacząłem kupować mapy różnych krajów. Byłem taki ożywiony i trwałem tak w tym stanie przez tydzień, dwa, trzy. Nagle spojrzałem sam na siebie i mi się wydało, że tak naprawdę to jestem śmieszny w tej swojej nadziei, że jak pojedę to coś się wydarzy. Krążyły mi po głowie jakieś myśli, zacząłem pisać tę książkę, której kawałek tu czytałem, chociaż nigdzie nie wyjechałem jeszcze. Raczej zacząłem pisać książkę o tym, jak komuś przychodzi do głowy, że pojedzie w wielką podróż, z różnych powodów nie jedzie, więc odbywa tylko takie namiastki podróży - marzy, wyobraża sobie albo sobie przypomina „a dzie sięć lat temu rzeczywiście gdzieś byłem, coś się stało, coś pamiętam”. Zacząłem pisać trochę dla żartu. Pomyślałem, to zabawne, będę pisał o takich miejscach właśnie, nie o wielkiej podróży, tylko o czymkolwiek. Będę pisał taki absurdalny przewodnik, tak zacząłem, a potem to się zrobiło trochę bardziej poważne. Ale zaczęło się właśnie od takiego marzenia - wielka podróż.

Jaki jest następny krok w Pana literackiej podróży, plany wydawnicze?

Jestem w połowie niedużej książki, którą chciałbym skończyć. To nie jest książka podróżnicza, jakkolwiek tam się pojawiają różne obce kraje, ale tam nie chodzi o te kraje, nie chodzi o podróż, nie chodzi o jakieś rzeczy nowe, które się widzi,

chodzi mi raczej o taki niepokój, który się pojawia, kiedy jestem, najkrócej mówiąc, poza Europą i widzę, że ten świat poza Europą jest smutny tak naprawdę. Te wszystkie piękne kraje, o których lubimy opowiadać, albo słuchać jak ktoś opowiada, w ogromnej większości, wszystko jedno czy to jest Ameryka Południowa, gdzie nigdy nie byłem, czy to są kraje Kaukazu, czy to jest Kambodża, to wszystko są kraje, mówiąc banalnie, złe i niesprawiedliwe. Mimo, że tam się dzieją różne dobre rzeczy, mieszkają tam nierzadko wspaniali ludzie.

Czasem gdzieś wyjeżdżam, a potem wracam do Europy i tak sobie mówię: „jak tu jest przyjemnie!”. Nudno, ale przyjemnie, bezpiecznie. Natomiast cały ten piękny atrakcyjny świat, nawet jeśli tego nie widać na zewnątrz, to pod spodem jest tam jakaś straszna krzywda, niesprawiedliwość, okrucieństwo, korupcja w skali, której my sobie w ogóle nie wyobrażamy. I jeśli przyglądać się uczciwie, temu co się tam da zobaczyć, to nie są wesołe obserwacje.

Fama to festiwal artystycznej młodzieży akademickiej. Co mógłby Pan powiedzieć młodym ludziom wchodzącym w świat literatury?

Żeby nie wymyślali na siłę niczego i żeby po prostu uważnie się rozglądali. Nie chodzi tylko o reportaż, żeby coś wiernie opisać, ale żeby pisać o takich rzeczach, które same się tego domagają, a nie wymyślać efektów, figur. Nie obliczać, nie planować tego, jakie wrażenie się zrobi, ale pisać o tym, co naprawdę się tego domaga.

Martyna Tomczyk

laureatka Nagrody Dziennikarskiej im. Marka Kasza (2015)

TOR- PEDA LUDU

nr 1/3 Teksty uczestników
warsztatów literackich

Hymn chorych

Umieram w kurorcie na krwotok
i jestem już prawie trupozem
więc nic nie wyleczy moich dołów

Za bardzo uwierzyłem w swoją pieśń
by iść lub gnać, bez przerwy tak przed siebie
zostawić w tyle, to co ma być w tyle
i otworzyć się na nieznane,
co tobą miota wszereż i wzdłuż.

Idiota!

Za bardzo uwierzyłem w wymyślone brzemię,
a może naprawdę jest
strzaskany jeź.

Ja Bard!

Ja Bard! A w dupie...!

Król

Król zawsze jest najważniejszy
A ty to nic
Możesz zagrać z nim w filmie

Papuzki

biedne papuzki
zawsze w drodze
nigdy się nie wysypiają
kwilą biedusienkie
łamią moje serce
jak to płacze małutkie
ciężko daje sobie radę
bo jest facetem co się zawziął w bramie
ale nie
one chcą nie żyć
ból to właśnie sprawił
myśli to szybciotko
kolorowe strzebiątko



Prawda czy wyznanie?

boję się rano włączyć Internet,
tyle wiadomości złych,
z każdego zakątka świata,
a przecież trzeba żyć

przeraża mnie naga prawda
i uładzona wersja świata *light*,
mierzi mnie kontrast:
tu *glamour*,
a tam brudna bieda,
insta food i głód,
umierających gdzieś za oceanem
telewizyjnych spojrzeń

high life i śmierć,
a pośród tego wszystkiego my,
utkani z troski o każdy dzień,
z bólczkami na które radzą:

take a pill
take your meds
you'll be fine
you'll be great

but we're not
but we can't

Vanitas

Pełne mam dłonie pustych elementów,
z których miałam zbudować dom,
z których chciałam zbudować schron

Głowa wystaje mi z ram,
do których należę,
na niepodobieństwo się formuję innych
i udaję, że przynależę

Smutek czystą duszę broczy krwią,
kiedy spada łza za łzą,
na ciało niezdarne,
na marne

Martyna Wojtyra

Uobecnie(nie)

Tyle w nas tęsknoty, a takie małe ciała,
wątłe kości podtrzymują kręgosłup moralny.

A odpowiedzi w środku żyją, w żyłach żyją,
długą szyją spoglądają w głąb,
tymczasem ja się kończę.

Drży mi w środku każdy nerw,
boję się, że jak sobie pościelę,
tak się wyśpię,
że choć osłonię lustra długim kirem,
rzeczywistość nie zginie.

Dzień, w którym zaczyna się rozumieć,
jest najlepszym dniem,
jest najgorszym dniem

Ptak języka polskiego nie jest pięknym ptakiem. Jest brzydkim ptakiem podtrzymywanym przy życiu w muzeum, bo jest. Ci którzy go hodują o ptakach innych języków mówią że są bardziej pospolite.

Są ptaki miłości, filozofii, wymiany handlowej

Zarzuca się innemu ptaku, że jest kupcem, podczas gdy jego zasięg obejmuje cały świat, jest szczęśliwy i wolny. Jego szczęście jest nieświadomione, jak stan nie-latania dla ptaka. Nie wie, że nie może być nieszczęśliwy.

Ptak polski byłby szczęśliwszy, gdyby był jakimkolwiek innym ptakiem. Mógłby być ptakiem *Pirahã*, który nie ma słów którymi mógłby opisać to, że ptak *Pirahã* nie jest pięknym ptakiem i nie potrafi daleko polecieć. Bo ptak języka *Pirahã* może polecieć tak daleko, jak daleko sięgają oczy języka *Pirahã*: aż po granice jego horyzontu. Z perspektywy języka *Pirahã* ptak języka *Pirahã* pięknie lata, jest wspaniałym ptakiem.

Ptak języka polskiego został na statkach zawieszony w rejonach, w których żyły inne ptaki a jeszcze inne doleciały tam same, ażeby mógł odczuć każdy border, jak bardzo jest niemy. Ptak polski tego sobie nie uświadomi, ale jego szpetota polega na tym, że struktura gramatyczna podcina mu skrzydła. To jakby mieć dodatkowe stawy w nogach i próbować na nich chodzić (albo mieć dodatkowe stawy w skrzydłach i próbować na nich latać). Skrzydła mają służyć do dalekiego lotu.

In English we say: Would U like to see the fly of my Eagle?

Pierwszy uskrzydła, drugi brzmi jak błaganie o łaskę. Dlatego drugi ptak jest tak bardzo nieszczęśliwy, i nie rozumie dlaczego. In Polish mówimy że polski jest piękny, ale to się tylko powtarza. Jeśli byłby - a przecież nie da się w tym języku napisać pięknych piosenek.

Ludzie mówią, że czytają Gombrowicza. Ja nigdy go nie rozumiałem. Może mógłbym polubić, gdybym przeczytał jego tłumaczenie na *Pirahã*, bo skrzydło o zbyt wielu stawach nie pozwala mi wzbić się do lotu?

The bird of Polish language isn't a beautiful bird. It isanugly bird keeping a live in a museum, because it is. People who breed it say that the birds of Rother languages are more common.

There are birds of love, philosophy, trade-exchange birds.

The other bird is accused of being a merchant Chile its Flying range has no limits. It is happy and free. Its happiness is unconscious like a state of not flying for the bird. It does not know that it may not be unhappy.

A Polish bird would be happier if it was any different bird. It could be a *Pirahã bird* that does not have words by which it could describe the fact that the *Pirahã* bird is not a beautiful bird and it will be able to fly far. Because the bird of *Pirahã* language is able to fly as far as the *Pirahã* language eses have a range - up to the borders of the horizon. According to *Pirahã* language the bird of *Pirahã* language flies perfectly and it is a magnificent bird.

The bird of Polish language was brought on ship decks to the are as where live different birds and the other reached the area on their own, in order to let feel every border how dumb it is. The Polish bird is not aware of it but it sugliness is a result of its grammatical structure that under cuts it swings. It is like having additional joints in legs and trying to walk. Or like having additional wing-joints and trying to fly. They are to be use for flying far.

In Polish we say: Czy zechciałby pan zobaczyć lot mojego orla?

The first uplifts, inspires you. The secondo sounds like begging for mercy. That's why the second bird is so unhappy and does not under stand why. In Polish we say: Polish language is beautiful but it is only a common phrase. If it could be - but in this language writing beautiful songs is impossible.

People say they like Gombrowicz. I have never understood him. Maybe I would like him if I read his *pirahã* translation, because a wing with too many joints does not let me fly high?

Model

fragment powieści wydanej w maju 2017 roku w wydawnictwie Hillman

Maria Kądzielska

Wszyscy teraz na coś lub na kogoś czekamy. Większość ludzi dorosłych czeka na koniec dnia pracy, na przyjsie weekendu, na upragniony urlop. Ludzie starsi czekają na telefon od dzieci, na ich przyjazd do rodzinnego domu podczas weekendu, na kilka dni świąt, kiedy nie będą tak bardzo samotni. Małe dzieci, leżąc w ciemności w swoich łóżkach i próbując zasnąć, nasłuchują przekręcane go w zamku klucza, aby w odpowiednim momencie wybiec i rzucić się w ramiona swoich zapracowanych rodziców. Chorzy w szpitalach czekają na narządy do przeszczepu, które mają uratować im życie, ale tym samym być przypadkiem losu, który zabrał życie komuś innemu. Jednak najgorsze jest czekanie ukochanych, tych, którzy znaleźli się wzajemnie wśród tłumu obcych ludzi, niepowiązani więzami krwi, ale jakąś dziwną siłą, która dla kaprysu łączy i dzieli nas wszystkich. I gdy już się znajdują, poznają, w mękach odważą na wyznanie i trafem losu zostaną zaakceptowani, to wtedy zaczynają na siebie czekać. Ta siła, która ich połączyła, nieuchronnie zacznie wymagać rozdzielenia - rzuci ich na dwie strony świata ze względu na możliwość nauki, nieubłaganą konieczność pracy lub pragnienie samorealizacji. W ten sposób rozdarcie między obowiązkami wobec samych siebie, a pragnieniem szczęścia, będą chodzili po chodnikach w różnych miastach, w różnych krajach i na różnych kontynentach, myśląc o sobie nawzajem i czekając na spotkanie. Im więcej będą podróżować, tym silniej będą chcieli przebywać gdzie indziej, z tą osobą z innego świata, której wcześniej nie mieliby okazji poznać, a teraz, kiedy świat stał się mniejszy, poznali i nie chcą porzucić. Współcześnie patronką miłości dawno przestała być Afrodyta, a jej miejsce zajęła, wpatrująca się morski horyzont,

Penelopa. I tak wpatrujemy się w ekrany komputerów, komórek, sprawdzamy skrzynki pocztowe i oglądamy zdjęcia. Ile cierpienia byśmy zaoszczędzili po prostu poddając zbyt ekstrawaganckie marzenia, przyjmując postawę realistów i zwyczajnie uznając pewne rzeczy za niemożliwe? Wszyscy jednak chcemy mieć więcej niż mamy, zobaczyć więcej niż jesteśmy w stanie zapamiętać i mieć lepsze wykształcenie, niż pozwala nam na to nasza inteligencja, a najgorsze przeżyć wielką miłość, na którą nie starcza nam hardości serca. Jeanny, choć za nic w świecie nie chciała, również musiała zacząć czekać. Od samego początku słusznie bała się tej miłości do A., który po kilku tygodniach zażartych, wręcz lekko szalonych podbojów, zaczął traktować spotkania z nią, jako miły dodatek do codziennej pracy. Była jego ozdobą, miejscem ucieczki. Delikatna i szczerza, zakochała się w nim po uszy po kilku tygodniach i już nie potrafiła utrzymać pozycji niezdobytej. Chciała się z nim spotykać, dzwonić do niego codziennie, dzielić się z nim swoimi problemami i wysłuchiwać jego rozterek. Zwyczajnie pragnęła wspólnie z nim doznawać świata. On jednak zdobywał go w samotności, a dopuszczał ją jedynie w momentach przerwy, dobrego humoru lub odpoczynku. Kiedy tańczyła w przedstawieniach, zawsze myślała tylko o tym, czy on na nią patrzy, czy ocenia jej ruchy, czy mu się podoba. Kiedy przestał wyrażać swój zachwyt tak ekspresywnie jak wcześniej, ogarnął ją strach, czy on może się nią znudzić. W końcu zaczęła prześladować ją przerażająca myśl, że mogły podobać mu się również inne tancerki i w rzeczywistości nie patrzył na nią, ale marzył i podziwiał jakąś inną kobietę. Starła się więc tańczyć jeszcze lepiej, grać bardziej wyraziście i wyróżniać na scenie, ale

nie robiła tego z samej miłości do baletu, ale by zrobić większe wrażenie na A., by się w niej bardziej zakochał. Jakim partnerem była początkująca baletnica dla światowej sławy modela, którego zdjęcie ukazywało się codziennie na okładce któregoś z magazynów? - myślała. A. zabierał ją na eleganckie bankiety, zapraszał na pokazy mody i przedstawiał znanym i bogatym ludziom, którzy przyjmowali ją grzecznie i miło, jako ładny kobiecy dodatek. Tym niemniej Jeanny czuła, że coś się w końcu dzieje w jej życiu wcześniej wypełnionym żmudną pracą nad swoim ciałem. Miała wrażenie, że przydarza jej się coś wyjątkowego, coś, o czym marzy każda dziewczyna, a tak niewiele z nich może wyjść w tych marzeniach poza filmy i książki. Ktoś uznał ją ciekawą, wybrał spośród wielu innych. Miała uchylone drzwi do świata, który pozostawał wcześniej dla niej zupełnie zamknięty lub o którego istnieniu w ogóle nie miała pojęcia, a otwierał je dla niej mężczyzna, którego zazdrościła jej połowa Miasta. Dlaczego zatem pozostawała tak bardzo nieszczęśliwa?

Jeanny żyła w ciągłym niepokoju. Cały czas bała się, że z jego strony jest to jedynie przelotne zauroczenie, przyjemna zabawa mężczyzny, który miał wszystko w życiu i którego źródłem szczęścia nie była miłość do kobiety. Nie potrafiła cieszyć się chwilą, ale chciała mieć więcej, chciała czuć się bezpieczna. Oczekiwała jakiegoś deklaracji z jego strony, uspokajającego potwierdzenia. Jednak im bardziej naciskała, tym silniej on oddalał się od niej. Prawdą jest, że istnieje różnica w naturze mężczyzn i kobiet. Większość z kobiet szuka pewnej stabilności, pewnego porządku, jaki można wprowadzić w życie, tak by nie walczyć o każdy szczegół, ale pewne sprawy traktować jako oczywiste. To kobieta a nie mężczyzna tworzy dom. Dom nie jako miejsce spania, mycia się i jedzenia posiłków, ale jako wartość duchową, jako przestrzeń, w której może zaistnieć rodzina,

a w jakiej możliwa jest realizacja pewnych wartości. Kobiety nie są przez to głupsze lub gorsze, posiadają po prostu inną zdolność, która pozostaje niedostępna dla mężczyzn. Nie jest to jednak wartość ceniona w wymiarze finansowym, a przez to współcześnie w społeczeństwie niedoceniana jako wysiłek. Jeanny posiadała właśnie tę umiejętność, wytworzenia domu niemal z niczego i darowania poczucia bezpieczeństwa. W dodatku czuła, że w Mieście właśnie to jest najbardziej potrzebne. Łatwiej było walczyć tam na zewnątrz, w tej bezwzględnej, pełnej rywalizacji rzeczywistości, jeśli miało się gdzie wrócić wieczorem, jeśli istniało miejsce przeciwwagi.

Ku jej wielkiej rozpaczy A. tego nie potrzebował i nie chciał. Cała jej przyrodzona ofiarność trafiała w pustkę. Kiedy przyszła do niego dzień przed jego trzymiesięcznym wyjazdem miała nadzieję, że coś dla nich obojga zaplanował, że chce zostawić jej jakieś wspomnienie, którego będzie mogła się trzymać cały okres rozłąki. On jednak zbyt był zajęty swoimi sprawami, podekscytowany nowym przedsięwzięciem - tym, co przyniesie mu dzień następny. Zdawało jej się, że nawet o niej specjalnie nie pomyślał, po prostu szedł prosto przed siebie, aby zmierzyć się z kolejnym wyzwaniem. Mógł ją pocałować na pożegnanie, jeśli akurat stanęła przy drodze, ale nie podszedłby do niej specjalnie i nie zatrzymał, aby na nią poczekać. Najgorsze, że Jeanny choć czuła, że powinna iść swoją drogą, podążać w kierunku własnych celów, a nie wyczekiwać, czy aby on nie wraca, nie potrafiła zrezygnować z własnego stanu zakochania. Grecy wtedy nie mieliby racji, a Penelopa musiałaby płynąć na własną wojnę. Jeanny bała się jednak, że na tej wojnie wcale nie byłaby bardziej szczęśliwa. Woląла zatem patrzeć w morze, myśleć o przyszłym szczęściu i całymi dniami po prostu czekać.

Sonder

cz. 1

Dawid Panic

Dzień 1. - Sonder (cz.1)

Jest 04:00 w nocy. Już prawie przysypiam, oglądając szósty pod rząd odcinek serialu, kiedy dzwoni telefon:

- Halo?

- Idziesz zapalić?

- Teraz?

- Eee... która jest godzina? Właściwie to miałem zamiar...

- Wiem. Też chce to zobaczyć. - Skąd ona o tym wie? Myślałem, że tylko ja wiedziałem, że to dzisiaj, o ile ktoś poza mną wiedział, że to w ogóle ma się zdarzyć. - Znam dobre miejsce - mówi, ignorując moje zdziwione milczenie.

- Okej... To... przyjść po ciebie czy gdzie się umawiamy?

- Czekam na dole. Pośpiesz się, bo nie zdążymy - mówi i rozłącza się, a ja uświadamiam sobie, że gdyby nie zadzwoniła, przespałbym wydarzenie, o którym nie potrafiłem przestać myśleć od kilku miesięcy.

Zbieram się z łóżka tak szybko, że aż zrzucam laptopa i dziwie się, że jest mi wszystko jedno jak uderza o podłogę, bo mógłbym przysiąc, że jeszcze przed jej telefonem oddałbym za niego życie. Jedną rękę wciągam na siebie spodnie z dresu, drugą już trzymam szczoteczkę i na szybko myję zęby. Wciągam na siebie najgrubszy sweter jaki mam. Jest już dosyć chłodno na dworze, a ja jestem całkowicie trzeźwy, z czego też dopiero teraz zdaje sobie sprawę. Kiedy czterdzieści sekund później wychodzę z akademika i wciąż nie dowierzając w rozwój sytuacji zastaję ją w podobnym do mojego stroju i w rozczochranych, luźno spiętych włosach. Zamyślona, patrząc w jakiś martwy punkt na ścianie, jedną ręką bawi się zapalniczką, w drugiej na szczęście trzyma otwartą butelkę wina. Taką ją zapamiętam jeszcze długo i w końcu taką jako ostatnią ją zapomnę.

Nieskończona liczba zbiegów okoliczności się wydarzyła, bym ciebie mógł tutaj spotkać - myślę sobie trochę za bardzo patetycznie, w wieku lat dziewiętnastu lub dwudziestu. Nie pamiętam dokładnie, bo lata, miesiące, dni nawet, nie mają tutaj najmniejszego znaczenia. W dniu końca świata wszystko zlewa się w jedną całość. A jednak, nieskończona liczba zbiegów okoliczności się wydarzyła, więc stoimy teraz razem na starym kamiennym moście nad rzeką Don i choć w dniu końca świata nie mają znaczenia nawet godziny, to jednak w godzinę czerwonego, wrześniowego słońca, ostatniego z tych dających choć trochę ciepła, patrzę jak jego promienie dają twoim włosom nowe życie, które wkrótce każę im spędzić wszędzie dookoła mnie. Nieskończona liczba zbiegów okoliczności się wydarzyła, jedno bardziej bez sensu od drugich, bym mógł to wszystko pomyśleć teraz, na starym kamiennym moście, na rzece Don. No i myślę. Ale nie mówię na głos zupełnie nic, bo nie jestem jeszcze kompletnie szalony. Po cichutku zarzucam dawno nie używane smycze na moje słowa, tak aby cię jednak nie przestraszyć. Taktownie udajesz, że nie słyszysz orgii moich myśli i zapalasz drugiego papierosa w ciągu dwudziestu minut. Ciągłe nie zwracasz na mnie uwagi, jakbym był duchem albo to ty jesteś duchem, sam nie wiem, bo myśl o końcu świata trochę zakłóca moje wspomnienie. Ostatecznie stwierdzam, że to ty jesteś duchem, takim dziwnym duchem, którego wyjątkowo interesują wygrzewające się na kamieniach w oddali foki. I nic dziwnego. Przypuszczam, że nigdy nie widziałaś fok, chyba, że w ZOO może. Ja też z resztą nie, ale jest mi z ich powodu teraz strasznie wszystko jedno, bo gapie się akurat na ciebie. Poprawka, jest mi dobrze, że one tam jednak są, bo pochłonęły cię na tyle, że ciągle mam szansę cię jednak nie przestraszyć.

Idziemy w rytm moich myśli w kierunku plaży. Mijamy domki zbudowane z tego samego kamienia co most, na którym przed chwilą staliśmy, przytulone jeden do drugiego i całe porośnięte czerwienią bluszczem.

- Nie wierzę w to, że mieszkają w nich prawdziwi ludzie - mówisz, trochę do mnie, trochę do nikogo.

Nieskończona liczba zbiegów okoliczności się wydarzyła, że ktoś te domki tu kiedyś wybudował,

myślę, i zajebicie, że tak się stało, bo chyba bym się nigdy już nie odezwał, zamilkł bym, kurwa, na wieki. No, nawet to teraz ja paliłem fajkę, żeby mieć jakąś wymówkę do milczenia, no bo jak mogłem przewidzieć te cuda, średniowiecznej, jak przypuszczam, architektury.

- Co masz na myśli? - pytam.

Nie pamiętam co odpowiadasz.

cdn.

Rozkład dnia kiedy wieczorem idę do kina

Mateusz Górniak

1. wstaję rano i mam miesiączkę, a za oknem widać słońce i nie ukrywam, to słońce jest jakąś małą obietnicą, bo nie ma niczego gorszego od okresu i chmur, spadku ciśnienia, które zwali ci na głowę cały dzień, sponiewiera cię, zrobi wszystko takim sennym, wielka nieużyteczność wielkiego rozspania, do dupy, ale dzisiaj nie, dzisiaj słońce **1(a)**. pamiętam słoneczne dni, które uratowały mi życie przed dwoma laty - ubierałem się wtedy ładniej i ot tak szliśmy do zoo, gdzie kupowaliśmy niesmaczne gofry **2**. na pusty żołądek, na drogę po bułki - pierwszy papieros, który przez znanego pisarza przypisywany jest wzniośle autodestrukcji, ale ja traktuję go raczej jak przyjemny, ale lekko kłujący w brzuchu odruch, no bo jak się pali, to idzie się jakoś inaczej, raźniej, nie? **3**. idzie się po bułki i widzi, jak wszyscy się już obudzili, a ty dopiero rozpoczynasz swoje rozbudzanie, doprowadzanie się do podjęcia obietnic słonecznego dnia **4**. auta stoją, trąbią, a ty wchodzisz do piekarni, a zaraz potem jesteś już w mieszkaniu, z poranną kawą i znów bez ubrań, jakie to piękne zrzucić ubrania, jakie to piękne patrzeć jak spodnie

dresowe fruną przez połowę pokoju i lądują gdzieś za łóżkiem, a ty zaraz będziesz siedział nago za stołem, przejadasz się więc rogalikami, smarujesz je grubą warstwą, czego nauczyłeś się od swojej dziewczyny, potem przejadasz się znowu serkiem danio i świeżymi bułkami, które wieczorem nie będą już świeże, więc musisz to wykorzystać **5**. drugi papieros po śniadaniu, drugi papieros to zawsze papieros na swój sposób marzycielski, wyciszający, taka rozgrzewka, po której można kompulsywnie poprawiać fryzurę albo zastanawiać się co dalej **6**. pierwsza stracona godzina na skrollowanie facebooka i wysuwanie dosyć ogólnych sformułowań dotyczących życia publicznego, lajki wykpiwające prawicowe zakute łby, a potem stopniowe rezygnowanie z ironii i „tak” dla lewicowego żaru, „nie wiem jak” dla spożytkowania lewicowego żaru, „pamiętam” dla tragedii przeszłości, „masz rację” dla siebie, że to bezużyteczne co robię teraz, „ja pierdołę” dla tego, która jest już godzina **6(a)** powinno się wstawać przed słońcem, żeby więcej zrobić - już o ósmej mieć wyczyszczone zęby i uśmiechać się nimi do

swojej przyszłości 7. rozczarowanie sobą trzeba zglądzić pod prysznicem, kiedy wychodzi się spod prysznicza, to człowiek jest jak nowy, jakiś lepszy i wtedy może zmierzyć się z dylematem „co dzisiaj zobaczę albo co dzisiaj przeczytam” 8. wobec nadmiaru innych obowiązków najlepiej czytać poezję albo opowiadania, bo są krótsze i można przerwać, kiedy postanowi się spełniać obowiązki naukowe 9. nieśmiertelny william carlos williams i wszyscy jego fajni bracia albo marcel schwob wygrzebany przez wydawców, w pięknym wydaniu z pretensjonalnym posłowiem 10. więcej przeczytam po obiedzie, na obiad wychodzę, dzisiaj nie trzeba oszczędzać aż tak, można zjeść na mieście i pogapić się zza talerza na znanego aktora, który pije kolejne piwo i gra w mobilną wersję „milionerów” 11. po obiedzie drzemka poprzedzona frustracją, że tyle się śpi i pytaniem co dalej i odpowiedzią, że spokojnie, że jak teraz się wyśpię, to potem będzie więcej energii 12. drzemka okazała się zbyt długa, poduszka mokra od śliny tak, że aż nie chce się tej drzemki przeciągnąć jeszcze i jeszcze, jak przeciągnęło się ją godzinę temu 13. druga kawa, która z szóstym papierosem zwalcza nieprzyjemny zapach z ust i potem sms-dobra nowina, moja kochana jest w mieście, potem drugi sms, moją ukochaną boli głowa i trzeci sms-znowu-dobra-nowina, z moją kochaną wdrożymy plan ratunkowy i pójdziemy do kina, bo już nic się dzisiaj nie wydarzy,

a jakoś trzeba ten dzień podciągnąć, podretuszować 14. moja dziewczyna, która wydmuchuje tytoniowy dym jak pracownica mięsnego i kiedy znowu jej o tym mówię, to ma taką poirytowaną minę i, jak zawsze, piękne piękne zielone oczy, rozśmianą okrągłą buzię i mówi do mnie tak szybko, a u mnie wszystko takie powolne, poklejone niechcianą drzemką 15. bierzemy jeszcze, a co nam tam, wino w naszym ulubionym lokalu, który ma energię w dni słoneczne i melancholijne flow w dni pochmurne i ona pyta, czy naprawdę skończyły nam się tematy, bo na to wychodzi, ja mówię, że na pewno nie, że milczę bo myślę, a potem okazuje się, że tematy jednak się nie skończyły i aż do momentu, kiedy do kina trzeba już bieć, swobodnie sobie rozmawiamy, robimy ognisko w popielniczce, opowiadamy sobie historie, które dokładnie znamy, ale które bardzo lubimy 16. kino w dobrym guście to takie, w którym są dobre sceny seksu, tańca i młodzieńczego biegu przez miasto 17. po kinie przeciągamy wieczór w naszym, a co nam tam, ulubionym lokalu 18. robi się noc, kiedy się kochamy 19. jutro znowu można pospać, ale trzeba wstać wcześniej, żeby więcej zrobić 20. idę jeszcze do łazienki, przeglądam się w lustrze i mówię: mam w sobie coś, co kopie jak sam skurwysyn i jestem sobie dobrym duszkiem,

ahoj!



Agnieszka Budnik

Leśne stworzonka

przepraszam
zerwałam cię mimochodem
a nasza krew rozbryzgała się
zupełnie na marne
wiem że masz mi to za złe
powinnam cię wykręcić
tak uczą w telewizji
nałożyć pętelkę na szyjkę
jak hycel
zacisnąć
z całej siły
żeby połamać
pogruchotać
i wytępić
potem wypalić małą rankę
zakleić śliną
pamiętaj żeby dużo pić
bo płyny są latem bardzo ważne

Wieczór

światło załamuje się pod twoim okiem
łamie nos na pół
w tej podkówce mówisz do mnie więcej
przez sekundę
niż
już nie, zapomnij
słońce zaszło

Pocztówka znad morza

jesteś biała
jak prześwietlona
pocztówka znad morza
gdzie beżowy piasek
oślepia nienaturalnym światłem
a zamiast wody jest srebro
lustra w które nie można spojrzeć
bo wypali oczy wcale nie solą

pajęczynka naczynek nigdy nie była tak piękna
jak rozwichrzona płachta płóciennej koszuli
smakuje truskawką wędzonym drewnem
i gofrem na starym tłuszczu

nie chowaj się, ja widzę



Warto próbować

Czasem chcę trochę uciec. Wchodzę w senną ulicę.
Świeci chmurno i blade kanał pod księżycem.
W wodzie kaczki, jak mokre drewno.
Tu jest dobrze, na moment, na pewno.

Ślepe bloki z bielmem elektrycznym
Pożrą mnie dziś wieczorem, za moment,
gdy się skończy niedowład faustyczny,
a ja stracę przed sobą obronę.

A ja stracę bezsilność, pójdzie dalej ulicą.
W ślepych bloków zacisznym zakątku
Zauważą mnie myśli i chwycą,
I rozpuszczą - jak kwas w żołądku.

Skąd te myśli? Przez ciebie. Z zamętu.
Twoja wina i wina chaosu.
Albo jestem po prostu przeklętą
Żrących myśli ofiarą i losu.

Po co piszesz tak szybko i blisko?
Po co piszesz tak, że... nie wierzę.
Co ty robisz? Tylko strach ściska.
Co ty robisz mi w messengerze?

Chcę znów uciec pod księżyc, daleko,
choćby księżyc był pod powieką.
I kanałem chmurnym i mętным
Słać modlitwy, jak chwiejne okręty.

Smog

Noc. Z boku na bok. Nos w telefonie.
Błagam o miłość. Smog ziele ogniem.
Już prawie piąta. Pocieram skronie.
Jak niewygodnie!

Noc. Jaka straszna. Skąd takie noce?
Smog lata, skrzydły furkocząc ciemniemi.
Czerwone niebo. Jak je ozłocę,
placząc na ziemi?

Noc. Niech się skończy! Lub sen przyniesie.
Smog. Niech ogrzeje lub spada. Deszczem.
A mnie uciszcie - głodną - jak w lesie
zdrowym powietrzem.

Agnieszka Horodyska

Rozmowa

- Magdaleno, poszłaś do kawiarni?
- Nie, stoję znowu pod katedrą.
Już się zapalił las latarni.
Po co mam chodzić do kawiarni?

- Po co masz chodzić pod katedrę?
- Po placu chodzą zakochani.
Ja swoje żale tu rozedrę.
Położę serce pod katedrę.

Ren jest muzyką romantyczną,
Strasburg - starymi snami.
Ktoś przeplótl je wstęgą muzyczną.
Smutno być czasem romantyczną.

PONIEDZIAŁEK

13:00 Galeria Miejsce sztuki 44 Konferencja prasowa
13:45 Plac Wolności FAMA PRASOWA / HASH COOKIE – koncert
21:00 Jazz Club Central'a – SCENA MONIKA KOWALCZYK – koncert
22:15 Jazz Club Central'a – SCENA LUKASZ Z BALUT – koncert

WTOREK

16:00 El Papa – Cafe Hemingway ZAPROS FAME DO SIEBIE / SWIERNALIS, LUKASZ Z BALUT – koncert
18:00 Miejski Dom Kultury KINO / BOŻENA GALANT – W malinowym chruśniaku, Aldona, Proste równoległe, 24 godziny / ENA KIELSKA, ANNA66 ANDRZEJEWSKA – Śledztwo / MATEUSZ ŻEGLIŃSKI – Silacz, Zielony i Czarny, Marsz, Honor, Pan Charon, Droga powrotna
20:45 Jazz Club Central'a – SCENA PAULINA POTOCKA – stand-up NO SHOW
21:45 Jazz Club Central'a – SCENA Grupa Teatru Improwizowanego IMPRO Z KRYPTY
23:15 Jazz Club Central'a – SCENA HASH COOKIE – koncert

ŚRODA

16:00-18:00 MDK Przytór ZAPROS FAME DO SIEBIE / WARSZTATY PLASTYCZNE DLA DZIECI I MŁODZIEŻY
16:00 Restauracja Hamaki ZAPROS FAME DO SIEBIE / SHAPELES – koncert
17:00 Galeria Miejsce sztuki44 WAR – wernisaż, kurator: A. Pawełczyk / wystawa trwa do 30.09.2017
19:00 Galeria Miejsce sztuki44 MIEJSCA LITERATURY. STREFY WRZENIA / LUKASZ ORBITOWSKI – spotkanie autorskie ZDARZYŁO SIĘ W BYDGOSZCZY, moderator: Karol Maliszewski
20:30 Jazz Club Central'a – SCENA DAVID MBEIDA NDEGE – stand-up BO W ŻYCIU NIC NIE JEST CZARNE LUB BIAŁE
21:45 Jazz Club Central'a – SCENA MONIKA KOWALCZYK – koncert
23:00 Jazz Club Central'a – SCENA LILAC – koncert
00:15 Jazz Club Central'a – SCENA LUKASZ Z BALUT – koncert

CZWARTEK

16:00-18:00 MDK Przytór ZAPROS FAME DO SIEBIE / WARSZTATY PLASTYCZNE DLA DZIECI I MŁODZIEŻY
16:00 Restauracja Hamaki ZAPROS FAME DO SIEBIE / ODETTE DĄBROWSKA, MONIKA KOWALCZYK – koncert
17:30 Galeria Miejsce sztuki44 MIEJSCA LITERATURY. STREFY WRZENIA / MAGDALENA KICINSKA – spotkanie autorskie 1942, moderator: Karol Maliszewski
19:00 Muzyczna Koncertowa SIOSTRY LOTRY – koncert
20:00 Muzyczna Koncertowa LILAC – koncert
21:00 Muzyczna Koncertowa HASH COOKIE – koncert
22:15 Jazz Club Central'a – SCENA SWIERNALIS – koncert
23:30 Jazz Club Central'a – SCENA SHAPELES – koncert

PIĄTEK

16:00-18:00 MDK Przytór ZAPROS FAME DO SIEBIE / WARSZTATY FOTOGRAFICZNE DLA DZIECI I MŁODZIEŻY
15:30 El Papa – Cafe Hemingway ZAPROS FAME DO SIEBIE / LILAC – koncert
17:00 Galeria Miejsce sztuki44 MIEJSCA LITERATURY. STREFY WRZENIA / PIOTR NESTEROWICZ – spotkanie autorskie NOWA, LEPSZA POLSKA, moderator: Karol Maliszewski
18:30 Muzyczna Koncertowa SHAPELES – koncert
19:30 Muzyczna Koncertowa STRAŻACY – koncert
20:45 Plac Wolności JAKUB GUCIK – koncert, projekt ONE MAN ONE CELLO
22:15 Jazz Club Central'a – SCENA GUSTAVE TIGER (Węgry) – koncert

SOBOTA

10:00 Zielony Rynek Pod Zegarem ZAPROS FAME DO SIEBIE / HASH COOKIE – koncert
15:00-17:00 Plaża, wejście od ul. Powstańców Śląskich Duet ANGELS – projekt ZRÓB SOBIE NIEBKO
17:00 Restauracja Hamaki ZAPROS FAME DO SIEBIE / RUNFORREST – koncert
18:30 Muzyczna Koncertowa SMOKING BARRELZ – koncert
20:00 Miejski Dom Kultury Magdalena Bochan-Jachimczak – MAMY PROBLEM. MONODRAM MACIERZYŃSKI
21:30 Jazz Club Central'a – SCENA PRZYBYŁ – koncert
22:45 Jazz Club Central'a – SCENA THE PLANTATORS – koncert

NIEDZIELA

11:00 El Papa – Cafe Hemingway ZAPROS FAME DO SIEBIE / THE PLANTATORS, PRZYBYŁ – koncert
17:00 Galeria Miejsce sztuki44 WRZENIE BARW – sekcja fotograficzna, wernisaż, kurator: T. Sikora
18:00 Galeria Miejsce sztuki44 MIEJSCA LITERATURY. STREFY WRZENIA / GRZEGORZ UZDAŃSKI – spotkanie autorskie WYCIĘCZKA NA KUJAWY, moderatorka: Monika Stopeczk
19:30 Miejski Dom Kultury WJOLETA KOMAR – monodram DIVA
21:00 Jazz Club Central'a – SCENA KATARZYŃNA ŁOPATA – koncert
22:15 Jazz Club Central'a – SCENA ODETTE DĄBROWSKA – koncert
23:30 Jazz Club Central'a – SCENA RUNFORREST – koncert
00:30 Jazz Club Central'a – SCENA JABIŁONKA – koncert

PONIEDZIAŁEK

11:00-13:00 Plac Wolności MOBILNY INSTYTUT KULTURY / TELEWIZJA FESTIWALOWA – wywiady, spotkania, prezentacje artystyczne
14:00 Plac Wolności MOBILNY INSTYTUT KULTURY / RADIOSLAM – koncert
16:00 Plac Wolności Zachodniopomorska Offensywa Teatralna – SZTORM / happening dla dzieci
17:30 Galeria Miejsce sztuki44 MIEJSCA LITERATURY. STREFY WRZENIA / INGA IWASIOŃ – spotkanie autorskie SZCZECIN. MIASTO ODZYSKANE, moderator: Artur Daniel Liszkowski
19:00 Miejski Dom Kultury JESZCZE W ZIELONE GRAMY – PIOSENKI WOJCIECHA MLYNARSKIEGO – koncert premierowy / SEKCJA MUZYCZNA, reż.: JJ. POŁOŃSKI, kier. muz.: SZ. WOJCIŃSKI, scenogr.: J. MARTYNIUK
22:00 MIEJSCE ŚCIŚLE TAJNE PROJEKT X

PT – PROGRAM TOWARZYSZĄCY
SP – SCENA POZAKONKURSOWA
PK – PROGRAM KONKURSOWY
WS – WYDARZENIE SPECJALNE

PK
PK

LOKALIZACJE

Muzyczna Koncertowa Promenada
Amfiteatr ul. Chopina 30
Miejski Dom Kultury ul. Wojska Polskiego 1
MDK Karsibór ul. 1 Maja 40
MDK Przytór ul. Zalewowa 40
Hala w Basenie Północnym ul. Rogozińskiego / ul. Jachtowa (Marina)
Galeria Miejsce sztuki44 ul. Armii Krajowej 13
Jazz Club Central'a – SCENA ul. Armii Krajowej 3
Browar Miedziowy44 Interferie Medical SPA****, ul. Uzdrowska 15
Bar Muszla Promenada, obok Muszli Koncertowej
Oflag ul. Piastowska 55
El Papa – Cafe Hemingway ul. Bohaterów Września 69
Restauracja Hamaki ul. Pilsudskiego – dawny „Domek Baby Jagi”
Zielony Rynek Pod Zegarem ul. Kallitaja 4A
Osiedle Warszaw ul. Sosnowa / ul. Barlickiego
Plaża Wejście od ul. Powstańców Śląskich

PT
PK
PK
WS
PK
PK
PK
PK

PT Na wszystkie wydarzenia obowiązuje **WSTĘP WOLNY.**
PK
WS

PK W przypadku ekstremalnie złej pogody działania prezentowane w Muszli Koncertowej i plenerze będą przenoszone do Amfiteatru / Miejskiego Domu Kultury / klubu Central'a – Scena. Organizator zastrzega sobie prawo do zmian w repertuarze. Aktualizowany program znajduje się na stronie www festiwalu.
PK
PK
PK

PT
PK
WS
PK
PK
PK
WS

PK
PK
PK
PK
PK
PK
PK

SP
PK
WS
PK
PK
PK
PK

PT
PK
PK
WS
PK
WS



ORGANIZATORZY

akademickie biuro
kultury i sztuki
ALMA-ART



WSPÓLORGANIZATOR



DOFINANSOWANIE



PARTNERZY



WSPÓLPRACA MEDIALNA

iswinoujscie.pl

WYDAWANIEM

